

p 350
Doublet P 973/66/1933

BLUSZCZ



zł. 1.20

ROK LXVI WARSZAWA LISTYCZEN 1933 NR. 2

Mieć zawsze na uwadze
ASPIRINA
Istnieje tylko jedna



Do nabycia
we wszystkich
aptekach.



514

W rodzinie

i wszędzie, gdzie zbiera się wiele osób, istnieje niebezpieczeństwo zarażenia się przez wdychanie rozsiewanych podczas kaszlu lub kichania zarazków. Chronie się zatem przed gripą, zapaleniem gardła i przeziębieniem zapomocą



pastylek
Panflavin
BAYER

Do nabycia we wszystkich aptekach.

LIST OTWARTY DO RODZICÓW, NAUCZYCIELSTWA, WYCHOWAWCÓW i MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ.

W poszukiwaniu czytelników, t. zw. słowo drukowane pomijało dotychczas w Polsce rzesze prawdziwie głodne i spragnione odpowiedniej lektury. Mamy na myśli dorastające dziewczynki. Co mieliśmy dla nich? Pisma i książki dziecinne, lub literaturę dla młodzieży, przeżwannie geograficzno-przyrodniczo-awanturniczą, czyli obliczoną wybitnie na upodobania chłopców. Gdyby nie kilka tomów, tłumaczonych z angielskiego, oraz liczone na palcach książki autorek tej miary, co np. Marja Dąbrowska, śmiało można by stwierdzić absolutną jałowość rynku wydawniczego w tej dziedzinie. Pisma dla dziewcząt nigdy w Polsce nie było. Wierni swoim pionierskim tradycjom, mimo pozornie niesprzyjającej koniunktury, postanowiliśmy wypełnić dotkliwą lukę, jaką tworzył brak wydawnictwa dla dziewcząt, promując do życia pismo p. t.: „ŚWIAT DZIEWCZĄT”.

Wszyscy, którym jest bliska troska o nowe pokolenie kobiet, wchodzące w trudne warunki życia, a więc rodzice, nauczycielstwo i wychowawcy, dobrze znają przejmujący lęk przed chwilą opuszczenia szkoły i domu przez dziewczynki, otoczone dotychczas czujną opieką. Postanowienie gorącej współpracy z domem i szkołą stało się zarówno przyczyną powstania, jak i celem naszego pisma. Chcemy dostarczyć młodemu pokoleniu tych wartości, których dom i szkoła udzielić nie mogą. Będziemy toczyli najzbożniejszą walkę o zaufanie zarówno młodego, jak i starszego pokolenia. Nie wątpimy, że uda się nam je zdobyć.

Gdzie i w kim szukać będziemy pomocy? Zwracamy się o nią do całego społeczeństwa. Apelujemy do najcelniejszych literatów i publicystów, przedewszystkiem do sił młodych, żyjących ze środowiskiem dziewczęcym.

Rodziców, nauczycieli i wychowawców prosimy gorąco o zaznajomienie się z naszym pismem i rozpowszechnianie go na powierzonych ich pieczy terenach. Do naszych przyszłych Czytelniczek zwracamy się z jedną, łatwą do spełnienia prośbą: wzięcia do rąk naszego pisma! Nie wątpimy, że to wystarczy: czyż z pierwszego, nieraz przypadkowego spotkania nie urasta w życiu mocny fundament przyjaźni?

Aby uzupełnić obraz naszej przyszłej współpracy, podajemy do wiadomości wszystkich, że pismo „ŚWIAT DZIEWCZĄT” ukazywać się będzie 1-go, 10-go i 20-go każdego miesiąca, czyli co 10 dni.

Uwzględniając trudności materialne zarówno rodziców, jak i młodzieży, wyznaczamy najniższą cenę — 40 gr. za numer w sprzedaży pojedynczej, oraz 1 zł. w prenumeracie miesięcznej (za trzy numery), w prenumeracie kwartalnej (za 9 numerów) — 2 zł. 50 gr.; w prenumeracie półrocznej — 5 zł.

Konto P. K. O. 18800.

Numery okazowe wysyłamy po otrzymaniu znaczka pocztowego za 40 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87 i Plac Zamkowy 9.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

BLUSZCZ

społeczno-literacki ilustrowany tygodnik kobiety

BEZROBOTNE I TE, KTÓRYM GROZI BEZROBOCIE

Dawno chyba nie było inicjatywy, równie dobrze i bez zastrzeżeń przyjętej przez ogół kobiety w Polsce, jak zapoczątkowana przez Komitet Rzeczników Pracy Kobiet ankieta o bezrobociu wśród kobiet.

Wszystkie organizacje społeczne, kobiece, bądź ogólne, do których się naprzód zwrócono, bez wyjątku zainteresowały się tą ankietą i obiecały ją przez swych członków szeroko rozkolportować. A potem, istotnie, w nadzwyczaj szybkim tempie rozleciały się po całym kraju małe karteczki, ulotki z kilku pytaniami, na które ma odpowiedzieć indywidualnie każda bezrobotna kobieta.

Potem karteczki te powrócą do rąk Komitetu Rzeczników (pp. Eug. Waśniewska, Halina Krahelska, dr. Zofja Garlicka, delegowane przez Międzynarodowe Biuro Pracy w Genewie), będą przeczytane, przestudjowane, naukowo opracowane i podane do wiadomości społeczeństwa oraz biura w Genewie.

Niema dziś niewątpliwie bardziej powszechnej troski, niż bezrobocie, dotyczące tak czy owak każdą rodzinę, łamiące ustalony dobrobyt grup i całego społeczeństwa, wykolejające poszczególne jednostki. I te niedole indywidualne i ogólne powinny, chcą i muszą dojść do głosu.

Nietylko dlatego, by obwieścić o sobie, o historii naszych czasów, o bolączkach społecznych, lecz by stać się nauką, przestrogą, lekcją na przyszłość. Aby trafić do umysłów i serc ludzkich, aby je natchnąć nowym człowieczeństwem.

Popularność, z jaką spotkała się ankieta, świadczy, że kobiety rzeczywiście chcą się wypowiedzieć. To bardzo dobrze! Czują smród rzesze kobiece, że w społeczeństwie dzisiejszym i w społeczeństwie jutrzejszym sprawa ich zaważy na kształtowaniu się życia, że ta część bólu, niedoli, męki, jaką bezrobotna kobieta zmuszona jest oddać dziś na rzecz nieznaną sobie często potęg — potęg czarnych i okrutnych — że ta część jej nędzy wejdzie do rachunku przyszłości, że będzie w nim pozycją osobnego znaczenia.

W ankiecie wypowiadają się kobiety pracujące bez różnicy zajęć i kategorii zarobkowania. Robotnice, pracujące fizycznie, i pracownice umysłowe. Króciutki tekst ankiety, podany kiedyś przez „Bluszcz”, jest tak ułożony, iż pozwala ustalić nie tylko dane o pracy bezrobotnej i warunkach jej utraty, lecz o całej skali trudności, walk, wykończeń, jakim ulega człowiek, rzucony w otchłań i ratujący się własnymi siłami od śmierci głodowej...

Bo tak wygląda przecież w naszym ustroju współczesnym, w naszej cywilizacji i tysiącletniej kulturze, ostateczny moment bezrobocia. Od chwili, gdy padnie słowo: redukcja — gdy nastąpi wyrok utraty pracy, ewentualność taka zjawia się napewno, choćby nawet tylko teoretycznie, w myślach i w majaczeniach człowieka, pozbawionego pracy, a więc pozbawionego środków egzystencji.

A przecież bezrobocie kobiet ma jeszcze specjalne strony i cechy tak dojmujące, tak bolesne! Najbliższy kontakt kobiety z jej rodziną, z dziećmi, stwa-



C2 434 / 66 < 19337.

rza najtragiczniejsze rozdarcia uczuć, jakie sobie wyobrazić można. Dzieci jej są głodne, wołają jesć! Są skostniałe z zimna, a niema czem ogrzać izby, niema odzienia, by okryć ich ciała! Cała rodzina patrzy, jak w ostatnią ostoję bytu — w matkę, w kobietę.

W tych warunkach kobiety zdobywają się na niezwykle męstwo. Codzienna walka o byt, o chleb, o dach nad głową wydobywa z najprostszej, najmniej nawet zaradnej kobiety wielkie zapasy energii i sił ku ocaleniu rodziny. Niedawno wydane „Pamiętniki bezrobotnych“ (wyd. Instytut Gospodarstwa Społecznego) są pod tym względem szczerzotłym pomnikiem bohaterstwa kobiet w rodzinach bezrobotnych. Więcej bowiem o nich piszą ich mężowie i synowie, niż one same o sobie.

Na tle straszliwej walki z losem kobieta występuje naogół, jako ostatnia reduta obrony, jako ta, która zawsze zdobędzie grosz na chleb, praniem, usługami najcięższymi, pomysłowością i sprytem w handlu ulicznym, robotami ręcznymi i szyciem. Ona nie wypuszcza do ostatka steru życia rodzinnego, steru pracy domowej z wyczerpanych rąk.

Te skromne, ubogie duchem kobiety („Pamiętniki“ pisane są wyłącznie przez pracowników fizycznych) rozwijają całą imponującą wspaniałość duchową w najcięższej niedoli. Niema poświęceń, które byłyby dla nich za ciężkie, niema tak ślepej doli, by nie dojrzały w niej blasku nadziei.

Jeżeli rodzina jest straszliwym obciążeniem kobiety bezrobotnej, to niemniej pogrąża ją i obarcza jej pleć. Świadcstwa cytowanych wyżej „Pamiętników bezrobotnych“ i codzienne wręcz przykłady we wszystkich kategoriach pracy, nie tylko fizycznej, wykazują, iż zejście kobiety do roli prostytutki lub utrzymanki jest powszechnie tą łodzią ratunkową, z której pomocą ktoś „współczujący“ jej młodości i wdziękowi radby ocalić ją od rozbicia o skały nędzy. Do upokorzeń biedy przyłączają się tedy upokorzenia moralne, które jednakowo dotkliwie odczuwa kobieta-analfabетка i kobieta z kulturą umysłową.

Te, które jeszcze pozostały i pozostają na placówkach pracy, na stanowiskach i przy warsztatach zarobkowych, nie mają też obecnie „słodkiego życia“. Nad wieloma z nich, prócz ogólnej groźby zamykania lub zwężania przedsiębiorstw i instytucyj, krąży widmo specjalnej zemsty za to, że są kobietami.

Pomięszanie pojęć życia i sprawiedliwości społecznej zawisło zaś przede wszystkim nad pracownikami biurowymi, nad urzędniczkami. Zamężne są usuwane „rozumie się samo przez się“ — niezamężne są „zachęcane“ do ustąpienia swych stanowisk mężczyznom w imię „patriotyzmu i uczuć obywatelskich“.

Przyznam się, że piszę o tem ze specjalną przykrością, ze wstrętem. Wiem, że człowiek naogół nie anieleje w walce o byt, że silny ma skłonność do wykorzystania swych szans i że bezwzględność bywa hasłem ciężkich czasów — niemniej jednak te wia-

domości i fakty z terenów pracy biurowej mogą być świadectwem zastraszającej brutalności, ciemnoty i niskiego poziomu myślenia pewnych, dość licznych grup mężczyzn, należących przecie do świata kulturalnej umysłowości.

Ta naganka przeciw pracy kobiet nie jest wymysłem, nie jest plotką — istnieje, zagraża przerozdzeniem się nawet w system upośledzenia pracownicy (inteligentnej przedewszystkiem), walczenia z nią argumentem bez sensu, a bijącym w jej godność, niczem maczugą w głowę, zagraża wykośleniem rozwoju społecznego w jego bardzo ważnej zasadzie — człowieczeństwa kobiety.

Ta postawa mężczyzn pracujących wobec współtowarzyszek pracy niewątpliwie zaskoczyła kobiety i zastała je nieprzygotowanymi do takiego obrotu rzeczy.

Wiele pracownic przeżywa tę brutalną prawdę z wielkiem rozgoryczeniem. Nie chodzi tu o sentymentalną barwę sprawy usuwania kobiet ze świata pracy, do którego należą z niezawodnym pożytkiem dla społeczeństwa, któremu służą najlepszymi swymi siłami; nie chodzi też i o rozczarowanie, jakiego doznały w „koleżeństwie pracy“ ze strony mężczyzn.

Istota rzeczy jest aż nadto realna: zniszczenie kobiety umysłowo pracującej, jako współczynnika życia społecznego i jako jednostki samodzielnej. Pozbawienie pracy zarobkowej na odpowiednim stanowisku jest wytrąceniem jej ze zdobytej w życiu publicznym placówki, a skazanie jej na korzystanie z utrzymania przez mężczyznę jest odebraniem wolności osobistej.

To wie każda myśląca kobieta i rozumie doniosłość niebezpieczeństwa.

Ale obrony własnej dotychczas nie stworzyły inteligentne rzesze kobiece, zagrożone przez osobliwą proskrypcję, przez *cenzus płci*. Jeśli zaś nie zorganizują się ku obronie swych stanowisk i placówek pracy — będą nadal coraz bardziej redukowane, usuwane, będą zasilały kadry bezrobotnych.

Wprawdzie i w szeregach bezrobotnych kobiety już zdobyły swem czynnem, nieustraszonem męstwem miano „*bohaterek walki kryzysowej*“, jak wyraża się dr. Marja Balsigerowa w swem cennym studjum p. t. „*Společne skutki bezrobocia*“ (str. 19) — lecz o ten laur męczeński nie będą z niemi rywalizowali mężczyźni...

Bezbronność pracownic umysłowych, specjalnie zaś biuralistek i urzędniczek, pracujących w przemyśle i handlu, wydaje się tem większą anomalją, że pracownice te tworzą liczebnie pokaźną siłę.

W tak dużej gromadzie powinny się znaleźć duchy organizatorskie i programy obrony. Jeśli ich nie będzie — kobiety przegrają swe stanowiska, nawet te bardzo skromne, utracą posady i własne zarobki, będące podstawą samodzielnej egzystencji — i stanie się to w znacznej mierze z ich własnej winy.

Jadwiga Kramczyńska.

Ankieta Bluszczu o nowy typ mężczyzny

Od p. Hanny Skarbek, obiecującej publicystki i novelistki, otrzymaliśmy „kilka zdjęć napoczekaniu” w sprawie naszej ankiety. Są to głosy kobiet z inteligencji, z których każda na swój sposób, bardzo subiektywny, ustosunkowuje się do „nowej” kobiety i „nowego” mężczyzny.

A.

Zrana w skrzynce tkwił tylko jeden list — ale zato od Teresy!

Po półtorarocznym milczeniu, kuzynka pisała pismem zwartem, że... — wszystkie świny padły od karbunkułu jeszcze na wiosnę; urodzaj tegoroczny był kiepski; grad zniszczył doszczętnie... (nie zrozumiałam dobrze, co i gdzie), a komornicy zajęli już nietylko sprzęt gospodarski... Fortepian i głośnik radiowy oddawna stały upstrzone ohydami pieczętami.

Dopiero przy końcu długiego rejestru niepomyślnych wydarzeń, które, jak gradobicie, spadały na głowy nieszczęsnych w dobie obecnej posiadaczy majątków ziemskich, było coś dla mnie:

— „...o jakie przemiany obyczajowo-psychiczne dopytujesz tak natarczywie, miła moja? Owszem, zmieniło się tu niejedno, wyraźnie na gorsze, wszędzie dokoła, u sąsiadów dalszych i bliższych. Żadnych, zresztą, jak okolica szeroka i przestronna, *nowych ludzi* (a już mężczyzn!..) nie wyczuwam. Wszyscy się jakoś zrównali i utożsamili przy ciężkiej orce na chleb powszedni.

Czy myślisz, iż dlatego, że od paru miesięcy żyjemy pod urokiem bohaterskiej Amy Johnson, umiemy napamięć, a posłyszemy zapewne jeszcze o nie jednym genialnym wyczynie sportowym kobiecym za oceanem, a może i u nas; że biuletyny doniosą nam o wzrastającej liczbie kobiet rozwodzących się — zagadnienie *nowej* kobiety, a więc i ustosunkowania się do niej *nowego* mężczyzny wyjdzie z pieluszek problemu i wcieli się w rzeczywistość? tak zaraz, w okresie przyszłego bodaj dziesięciolecia? Bo, że wy tam w stolicy i po miastach zarabujecie same na siebie, mordując się w rozmaitych urzędach i redakcjach, to mniemacie, iż przeorałyście swą psychikę niewieścią tak gruntownie, a bezpowrotnie, że już nic nie pozostało w was ze słabostek i tęsknot wieczystej Ewy? Och, nie wierzę! Nie uwierzę, byście, co trzecia, nie marzyły o wyrwaniu się z kierunku narzuconej orki — dla chleba — i nie tęskniły... *tylko* do... sprawowania rządów przy własnym ognisku i nianczenia dzieci.

Tyle setek tysięcy kobiet *rozmiódło* się na szerokim świecie, ale wszak większość z nich została po prostu trywialnie porzucona przez mężów. Czy miały przestać istnieć? czy miały się skazać na powolne głodowe zamieranie? Zaczęły pracować. A te, które same zerwały pęta małżeńskie, czy zaraz, napoczekaniu,

odmieniły się, wydoroślały? stały się mądrzejsze i rozpoczęły jakieś inne, wyzwolone życie?

Pytasz o nasze, moje życie? O! chciałabym was widzieć, piękne „ceperki”, przy takiej czarnej, wsiowej robocie, od której barki drętwieją, a stopy puchną co dnia — że już na żadne pismo, czy najnowszą książkę człowiek nie łasy!! Zresztą, nie prenumerujemy ani tygodników, ani książek. Powoli przekształcam się w zgryźliwą, zaniedbaną „Barbarę”, a i „Bogumił” mój popsuł się wyraźnie, zresztą, jak wszyscy „Bogumiłowie” okoliczni. Od goryczy kłopotów i utrapień — zgorzkniał sam, jak papryka, postarzał i zeszeptniał. Pofałdowała mu się twarz i charakter. Ale niejedno trzeba już wybaczać, gdy tak za bary z przeciwnościami się wodzi, gdy tak haruje, z jedyną troską i myślą — aby *mnie* i *dzieciom* naszym los poprawić, aby...”

B.

Ktoś dzwonił do drzwi frontowych. Na progu wyrosła mi tak nieoczekiwanie chłopczykowata postać Wiktorji. O tej przedpołudniowej, „urzędowej” godzinie?

— Straciłam posadę w redakcji...

O jej! Teraz dopiero skonstatowałam, że była bladawa, a kapelusik zsunięty był na prawe ucho mniej wyzywająco.

— Wygryźli cię... twoi zachwalani, cwani koleżkowie! — zatriumfowałam — a przecież nie figurujesz już teraz *namet* jako mężatka!

Wzruszyła pogardliwie lewym ramieniem.

— Nie to. Owszem, konkurencja, każdy się trzyma pazurami, ale ja właśnie nikomu nie wchodziłam w paradę. Pismo ledwo robi bokami: mój dział zlikwidowano. Trudno. Et! dam sobie radę.

Zaraz chciałam poradzić, że przecież przysługuje jej prawo zwrócenia się do eks-małżonka, któremu wcale dobrze wiedzie się w naszym mieście, ale skoczyłaby, oburzona, pod sam sufit. Powiedziałam więc tylko:

— No, ale przyznasz chyba, że te stosunekzki koleżeńskie... — Znowu ruch ramieniem.

— Ty wciąż na temat kopania dołek pod koleżankami? A czemuż to nie mówi się przy tej okazji o rywalizacji fachowej pomiędzy kobietami?

— Odkądże to ujmujesz się za mężczyznami? — drwiłam.

Ale Wiktorja była stanowczo w złym humorze. Podniosła głos:

— Nie znoszę częściej przesady! Czyniecie zbyt wielki gwałt w waszym obozie — kobiet wyzwolonych. Burzycie się z istic parwenjuszowską pasją i ryczałtem przekreślacie wszystkie indywidua w spodniach! Niema ich wcale, albo są same lotrzyki. A cóż to, ojciec twój nie pracuje tak ciężko w późnym wieku i nie oddaje na was caluńskiej pensji co do grosiczka! A mój wuj-opiekun? a twoi i moi bracia, a mąż Jaśki, Zochy, Lenki? — nacierała na mnie.

— O, to są wyjątki! Zapewniam cię, to są *nasze* wyjątki!

— Nonsens! A ja cię zapewniam, że nowe kobiety, które naprawdę trwają w istotnej, *niegadanej* samowystarczalności, które potrafiły ogarnąć całokształt dzisiejszego życia, które wyzwoly się strupieszalnych pojęć, uprzedzeń i zaśniedziałych wymagań „królowych” — to są również *jeszcze* wyjątki! Dużo wrzasku, ale wciąż jeszcze jest w tem zbyt wiele zamilowania do efektownej propagandy, za mało trzeźwego i... i... odważnego spojrzenia na rzeczywistość! Inaczej się mówi, a zgoła *inaczej* urządza swoje życie prywatne...

— Nigdybym nie przypuszczała, że będziesz tak gorąco bronila *dzisiejszych* mężów, kochanków, kolegów!

— Co takiego?! — Wiktorja wkłada paletko — Dlaczego paczysz moje słowa? Wszak wiesz dobrze, jak *było* i jest w mojem życiu! Wiesz dobrze, jak piętnuję właśnie *dzisiejszych* naszych partnerów życiowych; tylko twierdzą uparcie, że same stwarzamy sobie piekło! Skoro taki ci właśnie niepoń wypadnie na męża, kochanka, czy kolegę... przejdź nad nim do porządku dziennego. A właśnie! Pozostań raczej samotna. Nie trwój swego człowieczeństwa... Wyzwól się naprawdę!

C.

A teraz to napewno dobijała się Lenka! Tylko ona potrafi tak dzwonić bez przerwy dziesięć razy.

O, jakaż modna, i wonicjąca, i rozszechbiotana! Przybiegła po fason moiej nowej piżamki. Za ciasna?? no... jaka szkoda!

— ...bo i pomyśl! masz prawie tyle latek, co i ja, a kto pozna? I wcale nie tyjesz! A za mną włóczę się wszędzie moje widome paszporty... O twójem życiu myślę z zazdrością: żadnych obowiązków!..

Aby Lenkę rozchmurzyć, podsuwam jej ulubione pralinki.

— Jakże dzieciaki... Maciuś? — pytam — o! lepiej się wam powodzi?

— Ach, już teraz się nic nie interesuję, ile mój „pan Andrzej” zarabia: dla mnie i moich dzieci musi być wszystko i basta!

Krótkie milczenie. Nowa pralinka i nowy wybuch:

— Skoro ucieka z domu do... *kogoś*... jestem bez żadnych względów! Ciągnę z niego, ile się da: wszystkiego mam teraz za *mało*! Niech się skręci, skoro taki mądry, jak sultan! A jednak ja góram, ja we wszystkim *piersza*!

Dłuższe milczenie. Odchodzę od okna.

— Drugiby Bogu dziękował, ma w domu *wszystko*... Nie, psia krew, miłości się chłopu w czterdziestce zachciwa!! Nic mnie *to* nie obchodzi! Raczej padnę trupem, a rozvodu nie dam!

Nie potem wychodziła zamaż, aby po dwunastu latach osiąść z dziećmi na koszu! A jakże! taka głupia, jak Wiktorja, nie jestem! W dziurawych botkach biega i manną z nieba się żywi. Nie chcę żadnej tam waszej osławionej pracy biurowej, społecznej, czy jakiejś innej samodzielności!! Nie chcę harowania! Chcę przede wszystkim wygody życiowej, dobrobytu, rozrywek. Dość! dość! Tak go skręcę, że odechce mu się wszelkich amorów... Życie mi popsuł... Karjerę mogłam zrobić... z moją urodą! Hołysz z miłości wybrałam! Jaki teraz, jaki nowy mężczyzna się znajdzie, któryby mię z dziećmi zabrał do siebie?!

Hanna Skarbek.



Tak bawią się w śnieżki wesole studentki amerykańskie.

Cienie wieczoru

POWIEŚĆ

ZOFJA KUNICKA

— Nieuważna jesteś! Przez szparę w parkanie mógł cię kto z ulicy podpatrzeć, albo od Szczygielskich. Cóżby pomyśleli? Tylko flondry tak się bez wstydu negliżują. Dobrze, że cię mama nie widziała!

Ceśce buchnęła krew do głowy.

— Czyż nie jestem u siebie? A czyż panie w kostjumach kąpielowych nie opalają się całymi godzinami na plaży i... nie same?

— Ogromnie ci się dziwię, że się powołujesz na rozwiązłe, nowe obyczaje. Myśmy wychowane były w innych, o! w innych! Skromność była pierwszą zasadą kobiety z naszej sfery i tak pozostać musi i dzisiaj, kiedy jesteśmy biedne, wydziedziczone. Rozumiesz?

Ćmiło się w oczach Ceśce od zmęczenia i wzbierającego gniewu.

Stanowczo Domcia obejmowała nieznacznie mamy przywileje, bardziej twarda jeszcze, bardziej karnościjska. Niebieskie oczy wśród czerwonych obwódok, nad którymi sterczały blade, zaropiałe rzęsy, odwróciły się z zadowoleniem spełnionego obowiązku.

— Chodź usmażyć kotlety, bo mama już się dopomina o obiad. Masz jeszcze salate? Po obiedzie trzeba by coś kupić na jutro: niedziela, a rano może zechcesz dłużej spać, jak to często bywa, i znowu będziemy pościć w święto.

Domcia uszeknęła wielki liść kapusty i oceniała nim od słońca swoją szarą twarz, która bielą od gorąca, jak wysychająca glina, pomimo czerwonych plam, jakie ją pstrzyły gdzieś tam. Ceśka wytarła ręce o fartuch.

— Kto pójdzie na miasto?

— Chyba ty, bo ja po tym katarze obawiam się jeszcze przeciągów na ulicy.

Ceśka z pomiędzy bujnych sznurów ogórków wyrwała sklepioną główkę salaty i starannie otrzepywała korzenie z ziemi.

— Dobrze... — rzekła powoli. — Usmażę kotlety, podam obiad, pójdę na miasto i jeszcze pomogę ci wieczorem wykończyć te trzy pary pończoch popielatych. Ale.. dziś i cały przyszły tydzień ty będziesz spać z mamą.

Śliskie i bezbarwne usta Domci ściągnęły się ze zdziwieniem w rybi pyszczek.

— Oooo... cały tydzień? Dlaczego?

— Ciocia prosiła, żebym przyje-

chała na czas jej nieobecności i pomogła przed imieninami.

— Kiedy prosiła? My z mamą nie o tem nie wiemy.

— Dziś rano był ogrodnik i oddał mi list.

— Nic a nie o tem nie słyszałam. Dlaczego nie pokazałaś?

— Śpieszyłam się odnieść truskawki do sklepu. Zresztą leży na komodzie pod przyciskiem. Możecie przeczytać.

— No, tak, oczywiście, że przeczytamy. Szkoda, że mówisz o tem tak późno. Każda wiadomość od kochanej cioci Maryni jest dla nas pożądana.

Domcia poszła ku domowi, za nią Ceśka, niosąc w fartuchu szpinak i salate.

— Jak myślisz? Chyba mama nie będzie miała nic przeciw temu... no i ty również?

— Ja o tyle — rzekła oschle Domcia, — że po świeżo przeżytym katarze obawiam się jeszcze zarazić mamę. Jest to, jak widzisz, względnie egoistyczny, gdyż nie wspominam już o tem, że zarówno twoje, tak często zbyt liczne zajęcia w ogrodzie, jak i spacer i wyjazdy zwałają wciąż na mnie obowiązek doglądania mamy, która tak potrzebuje troskliwych starań. Przeciwnie! uważałabym to nawet za wielką radość, gdyby nie moje słabowite zdrowie: muszę bardzo uważać na nie i liczyć się z moimi siłami. Inaczej mogłabym sprawić wam wiele kłopotu, a nawet...

Niezadowolenie Domci lubiło się wypowiadać w wysokim, dramatycznym diapazonie, przyczem głowa chwiała się lekko, wahadłowym ruchem przy ważniejszych akcentach.

Ceśka przystanęła, oniomiała z żalu.

— Jakiś? więc ja nie robię nic?

— Tego nie powiedziałam. Ale robisz, co ci dogadza: pleć, obcinać pomidory, pójść do Szczygielskich, do Bawlewiczów. Unikasz rzeczy przykrzejszych, chętnie je zwalasz na osoby drugie. Nie rozumiesz istoty poświęcenia.

— Wszystko mogę — szepnęła cicho — najgrubsze roboty. Tylko tego jednego nie: spać z mamą...

Wiedziała, że czyni źle, przyznając się do tej słabości. Dawała Domci raz jeszcze atut, który tamta potrzebowałaby wyzyskać w odpowiednim momencie.

— To trudno, moja kochana. Musimy pobłażać mamie, choćby się nam to wydawało niemiłe. Bóg stworzył córkę, stworzył kobietę, aby umiała kochać i poświęcać się.

Tak, Bóg stworzył Domcię, aby nauczała. Ogarniało ją uroczyste natchnienie, słowa płynęły, jak oliwa, albo przyskaly ostro, bólać, niby tłuszcz na ogniu, trafiając, gdzie chciały. Ona sama zatrzymywała się wtedy, z rękami założonemi pomiędzy dużym brzuchem, a rozmięklą biustem.

Ceśka poszła wprost do kuchni. Wymyła ręce lekkim lugiem, posiekane i schowane pod sitko kotlety rzuciła na patelnię z masłem. Sama usiadła na stolku i plókała salate.

Jak zwykle, ze znacznym opóźnieniem powracała przytomność umysłu, plan stanowczych odpowiedzi, których powinna była udzielić Domci. Wszystko się zatrzymywało zawsze o nieśmiałość, jak gdyby o wysoki próg.

Ujrzała się znowu wyraźnie, poczuła w całym napięciu niedostrzeżonej krzywdy — zwrócić domowem, przeciążonem pracą. Nie chodziło jej nawet o szacunek za usług, lecz poprostu o stwierdzenie faktu, że robi, co może, nawet więcej, niż może.

— Tymczasem zawsze mało! zawsze mało! — szeptała wśród łez, lejąc ocet. — Dawaj całe życie, a po tobie potem, gdy wstaniesz na chwilę, językiem, jak batem. Co wczoraj, już się nie liczy. Domcia! o, Domcia! Ta coś wie o poświęceniu. Dla niej okropne dziwactwo mamy to drobnostka; jeżeli się droży, to tylko dlatego, żeby wykazać swoją wielkoduszość i mój egoizm, żeby mnie upokorzyć i coś dla siebie wytargować. Mówi się, że obie pracujemy. Cóż ona robi? Robi pończochy, pielęgnuje katar, chrypkę, odmrożenia, no i mnie poucza.

Ceśka oparła głowę o futrynę okna. W sąsiednim pokoju kichnęła siostra, czomś stuknęła, poczem rozpoczęło się głośnie czytanie listu cioci Maryni. Ceśka patrzyła na słoneczny ogródek, który poprzez rzęsy, obciążone łzami, wydał się jej nagle przyćmiony.

— „Myślę i spodziewam się, że cię mama puści. Domcia da sobie radę bez ciebie, a ty mnie zastąpisz i sama trochę odpoczniesz na wsi, co ci się bardzo należy...”

— Tylko tyle, że się liczą z ciotką! — pomyślała z goryczą. — Kartofle, drzewo na opał, mąka... za to może ciocia czegoś dla siebie zażądać. W przeciwnym razie, jaka historia! to „bardzo ci się należy” i wogóle trudności. „Mama cię puści”... O kim to mowa? O podrastającej dziewczynce Cesi? Ach, praca ponad siły i zabójcza śmieszność...

— Cesiuniu! — wołała mama — dawaj obiad, bo my bardzo głodne.

W jadalni było ciemno i duszno. Aby zatamować słońce, spuszczone rolety, okien nie otwierano nigdy. Zawsze coś stawalo na przeszkodzie: to za zimno, to za gorąco, tędy również mógłby się zakraść złodziej. W każdym kącie małego pokoju stały meble: stoliki, zniszczone krzesła, stara otomana, wielki kosz z łozy.

Mama siedziała w fotelu, wyłożonym poduszkami. Czarna chusteczka na głowie zabezpieczała od newralgii, żalobna suknia z welny nie chciała wiedzieć, że to lato. Twarz zwiędła, obwisła, żółta z braku powietrza, uśmiechnęła się do córki i ręce wyciągnęły się czule.

— Cesiuniu, co ty dzisiaj tak marudzisz? Domcia już się do ciebie odezwać nie śmie, ale ja biorę na odwagę, stara matka. Daj nam, dziecko, co przelknąć.

Ceska, milcząc, ucałowała podane ręce. Były szczupłe i łapkie, ale tego nie dostrzegala już nigdy.

Domcia coś tam majstrowała przy swojej przędzy, której wielkie motki, szare, cieliste, czarne i brązowe, leżały koło maszyny pończoszniczej. Ceska wyjęła talerze z szafki, rozstawiła na ceracie, przyniosła zupę w garnku i rozlała. Wszystkie trzy powstały. Mama odmawiała modlitwę z rękami złożonymi na piersiach, kierując oczy na ścianę. Na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej, a poniżej portrety męża Stefana i syna Munia. Jedna lampa oświecała te trzy wizerunki, sprowadzając je niejako do jednego poziomu.

Stefan był pięknym, bardzo cielistym mężczyzną, o jedwabistej brodzie i wąsach, z za grobu pachnący jeszcze wodą kwiatową i kobietami. Jakąż zawilą drogę przejść musiał kult jego u żony i córek, aby osiągnąć ten nieoczekiwany stopień uduchowienia?

Munio w szkolnym mundurku nie wyglądał na swoje lat osiemnaście, ani na lilję, którą aniołowie zabrali, jak swoją, z tej ziemi niegodnej. Pozostał jednak męczennikiem w sercu matki, dalekiej od domysłów, że coś w tem było jednak prawdy, coś, za co ludzie współczuli śmierci młodego chłopca, potępiając pocichu ojca. Umysł tej kobiety, dotkniętej śmiertelnie w tem, co było jej miłością, pychą, racją bytu — ześrodkował się w kierunku idealizacji dwojga utraconych ludzi. Jakby ca-

łe światło ziemi było ściągnięte i wysłane w ich stronę.

Nie to, aby ich doczesny pobyt wyzbył się cech rzeczywistości, raczej te cechy upodobniły się do symboli, poza którymi przeświecał drugi sens — wielkość i niechybność przeznaczenia.

Umysł mamy nasiąkł był pewnego rodzaju religijnym determinizmem: z tego punktu skon ukochanych wydawał się koniecznością, bowiem „umiłowani przez bogów umierają młodo”. I nietylko skon: wszystkie wydarzenia życiowe, ułomności i błahostki uwznioślały się w obliczu tej stałej zaświatowej interwencji, w przenikliwych promieniach swego wewnętrznego sensu.

I to niosło mamie ratunek wśród rozbicia, dawało naukę rezygnacji i pokory. Powszechnie wiadomy fakt, że piękny Stefan stracił cały majątek żony — „z torbami rodzinę puścił” — nigdy w swej brutalnej prawdzie nie docierał do świadomości mamy. Nie, nie! Był to człowiek łagodny, czysty, prawy, kochający nadewszystko żonę i dzieci, prawie święty. Wszystkiemu zawinił złi ludzie, zły los. „Bóg go doświadcza”: biblijna historia o Hjobie nasuwała się uporczywie. Niehonorowi przyjaciele, którzy zdradzili zaufanie, którzy umieli podejść i wyzyskać ten wzniosły charakter, klęski w gospodarstwie, wyjazdu za interesami, długie, kosztowne, wyzerpujące słaby organizm, wszystko to łączyło się w długi łańcuch, na którego końcu zadzwoniło straszne ogniwo — śmierć Stefana.

Złość ludzka, nikczemność jest bez granic. Już go nie było, tego najdroższego, słonecznego człowieka, a jeszcze syczały oszczerstwa i potwarze pod przykrywką współczucia. Nawet ciocia Marynia, bratowa, zawsze pierwsza do pomocy w chwili nieszczęścia, ruiny i nędzy — dawała chwilami posłuch tym kłamstwom. Ale mama nigdy. Ciężkie zwątpienia nie przystąpił jej wiary już lat trzydzieści.

Cytrynek skorzystał z nastroju, wskoczył na stół i, machając sztywnym ogonem wśród talerzy, rozglądał się po nich okrągłemi, złemi oczami.

— A kota! — krzyknęła Ceska i trzepnęła go ścierką. Było to z jej strony bardzo niedelikatnie, to też Domcia przeszła ją groźnym wzrokiem i, wzięwszy czule na kolana nastraszonego faworyta, pozwoliła mu jeść z własnego talerza.

— Co ci się stało, Cesiuniu? — miękko pytała mama. — Coto za nerwy? Pewno ci słońce głowę przypaliło! A zawsze mówię: poczekaj, aż upał zejdzie. Myśm tymczasem przeczytały list Maryni. Pocziwości ta kochana Marynia! Złote serce, ale taka roztrzępana, nigdy nie pomyśli, co komu układa: przecież to-

bie trudno na tak długo wyjechać z domu. Domcia trochę niezdrowa gospodarstwo, a i ja chciałabym schyłku życia mieć moje córki dla siebie. W tych ciężkich próbach, jakie Bóg zesłał na mnie, wiecie, że tylko dla was i przez was żyję. A tu Marynia gwałtuje: przyjeżdżaj!

Ceska miało gardło pełne słów i łez. Gdy nadarzyła się ta mała zmiana w ich monotonnym bycie, możność wyjazdu i odetchnięcia innym powietrzem — zawsze się piętrzyły trudności.

Wstała cicho i poszła do kuchni. Jakież jasny dzień stał w oknie otwartem! świeży letni powiew po zaduchu tamtego pokoju. Czasami zamiast stołków widziała tutaj krzesła jesionowe, świeżo obite; zamiast kuchennego stołu — okrągły i lśniący, na miejscu zakopconej płyty.

— Idąc na miasto, odniosę robotę Szczygielskim, a Symcha jutro zapłaci za truskawki. Pieniądze będą — tłumaczyła się pokornie. — A jeżeli mama z Domcią uważają, że... no to ja mogę nie jechać... napiszę zaraz przez ogrodnika...

— Za pozwoleniem, Cesiuniu! względem drogiej Maryni mamy obowiązki, wobec których muszą ustąpić moje, choć tak bardzo skromne, potrzeby. To siostra mego ukochanego męża, waszego ojca. Zdażę mi się, że z za grobu słyszę głos Stefana: „kochajcie Marynię!”. I ona ten głos słyszy i jakże zawsze pamięta o nas, dobra i serdeczna. Nie! my, choć wykolejone wyrzutki losu, nie okazemy jej niewdzięczności. Cesi! Domciu! musicie zrobić ofiarę dla pamięci waszego ojca i brata!

Oczy mamy zaszyły łzami i utończyły w ukochanych wizerunkach. Wsparte na łasce ręce Stefana zdawały się drżeć pragnieniem błogosławieństwa. Munio uśmiechnął się sennie: tak młodo zszedł z tego świata, cóż wiedzieć mógł o jego walkach i ofiarach? co najwyższej wyrwałby się chciał z tych ram, gdzie go śmierć zamknęła, i polecieć na zielone pola, do wesołego, ślicznego ogrodu w Porębie.

Po obiedzie Ceska zmyła szybko naczynie i kiedy mama z Domcią ułożyły się do popołudniowej drzemki, ona ubrała się starannie i zapakowała robotę.

Decyzja wyjazdu napelniała ją taką radością, że radaby mieć dziecię par rąk i nóg, aby wszystko załatwić i każdemu dogodzić.

Więc najpierw do Szczygielskich za parkanem. To była znacznie piękniejsza posesja: okazały dom w ogrodzie, okwitłe kasztany uderzały liśćmi o czerwoną dachówkę, pachniały kwiaty na rabatkach i ostatnie róże rozwijały się na długich gałązkach.

(d. c. n.).



WARSZAWA PO STU LATACH



Teresa Tatarkiewiczowa, w kilku dobrze wybranych urywkach z pism warszawskich z przed wieku, roztoczyła barwny obraz ówczesnego życia. Wzbudziło to we mnie chęć dania ludziom za sto lat wiązanki dzisiejszego materiału, o ile ten krótki przeciąg czasu nie zabije zupełnie już dość starego przyzwyczajenia do drukowanej bibuły.

Tłumaczę się przykładem koleżanki z „Bluszczu“, a właściwie to jest tak: mieszkając stale zagranicą, za krótkiego tu pobytu przyglądam się Polsce nowemi oczami i bardzo mnie ona ciekawi. Czasem podziwiam to niezblazowanie... Wszystko jednakowo mnie interesuje, zarówno w najmniejszym naszym miasteczku, w najcichszej wsi, jak też w miejscach, przez Baedekera okrzyczanych, sławnych z piękności, czy historycznego brzmienia. Nowe światy widzę tam, gdzie inni widzą nudę.

Zacniemy od domu, ulicy, podwórza, przyjrzyjmy się ich obyczajom.

I. PIERWSZA POCZTA W POŁUDNIE.

Wiele zawodów i salicylu serce ludzkie znieść potrafi!

To też nie buntowałam się przeciw losowi, gdy prawie zaraz po długo oczekiwanym przyjeździe do Warszawy, wypadło położyć się do łóżka; skorzystałam z tego, aby, wsłuchując się w mechanikę kamienicy, która jest jakby wielkiem radjo, mającym na każdą godzinę zgóry określony program — poznać tempo i tętno tutejszego życia. Wymagała też tego konieczność: nie mogłam każdej chwili wiedzieć, która godzina, gdyż stanął mi zegarek. Odrazu zastrajkowały dwie najważniejsze części człowieka — płuca i czasomierz! Trzeba więc było do pomocy w orjentacji wezwać wszystkie głosy domu.

„Kurier Warszawski“ pierwszy zadzwonił, a za nim, od wczesnego już ranka, o każdej nieomal porze dnia, dzwonili żebzacy. Są mało pomysłowi, jak wszystkie nieszczęścia, przeważnie zjawiają się serjami. Potem się dziwią, że coraz bardziej nieczulem sercem, coraz mniejszą daninę składa się ich nędzy! Nato-

miast domokrażcy, sprzedający mydło, ołówki czy książki, a tem bardziej młodzi panowie, zbierający na cele religijne, narodowe czy sportowe — lubią pokazać się koło 10-ej, gdy jest większa szansa, że zastaną w domu panią, nie zaś pana.

Winda przynosi na piętro o innej porze każde dziecko, wracające ze szkoły, o innej ojca, wracającego z biura, najpóźniej matkę, która poszła do miasta po zakupy i spóźniła się dziś — tylko już dziś! — na obiad.

Ta nieregularność życia rodzinnego szczególnie mnie uderzyła, to też nie zdziwiłam się, usłyszawszy, że toczą się obrady nad ujednostajnieniem godzin pracy, jedzenia i odpoczynku. Z pewnością wieleby to się przyczyniło do ułatwienia gospodarstwa, a nawet zmniejszyłoby potrzebę zbyt wielkiej tu ilości służby.

W Paryżu wiadomo, kiedy się je drugie śniadanie i obiad — odchylenia od 12-ej w południe i 7-ej wieczór bywają bardzo niewielkie. W Warszawie czas obiadu waha się między 2-gą a 5-tą, co wobec zwyczaju „wpadania“ do znajomych o każdej porze bez uprzedniego zawiadomienia, sprawia chaos, zamieszanie i ciągłą niepewność — żeby tylko nikt nie zadzwonił! Francuz nie zniósłby takiego niespokojnego życia. Bodaj to w Paryżu, gdzie rzecz złego tonu jest zjawić się niespodzianie, nie „sur rendez-vous“!

W obserwacjach moich prędko zauważyłam, że dopiero koło południa listonosz przynosi pierwszą pocztę.

Przyzwyczajona jestem do tego, że ranna poczta reguluje plan całej doby, trudno mi więc było oswoić się z myślą, że w Warszawie przecina środek dnia. Tłumaczono mi: to kolonja, nie centrum miasta — ale we wszystkich podmiejskich okolicach Paryża ma się korespondencję do pierwszego śniadania, o 7-ej i pół lub 8-ej, potem poczta przychodzi jeszcze 4 razy, w Paryżu zaś 6, gdy w sercu naszej stolicy tylko 3! Miejscowa komunikacja „pneu“, zwane też „petit bleu“,

przyjść może o każdej godzinie, do późnego wieczora. Szczególnie, gdy to jest obojętne i wcale nieoczekiwane.

Coprawda dla Warszawy miejscowe porozumienie listowne nie gra tak wielkiej roli, jak w Paryżu, telefon doskonale je zastępuje; nawet na prowincji ten sposób rozmowy na odległość jest znacznie więcej rozpowszechniony u nas, aniżeli tam.

W stolicy świata bardzo wiele osób obywa się bez telefonu. W Warszawie bardzo mało osób nie ma telefonu. Z takimi wogóle się nie żyje!

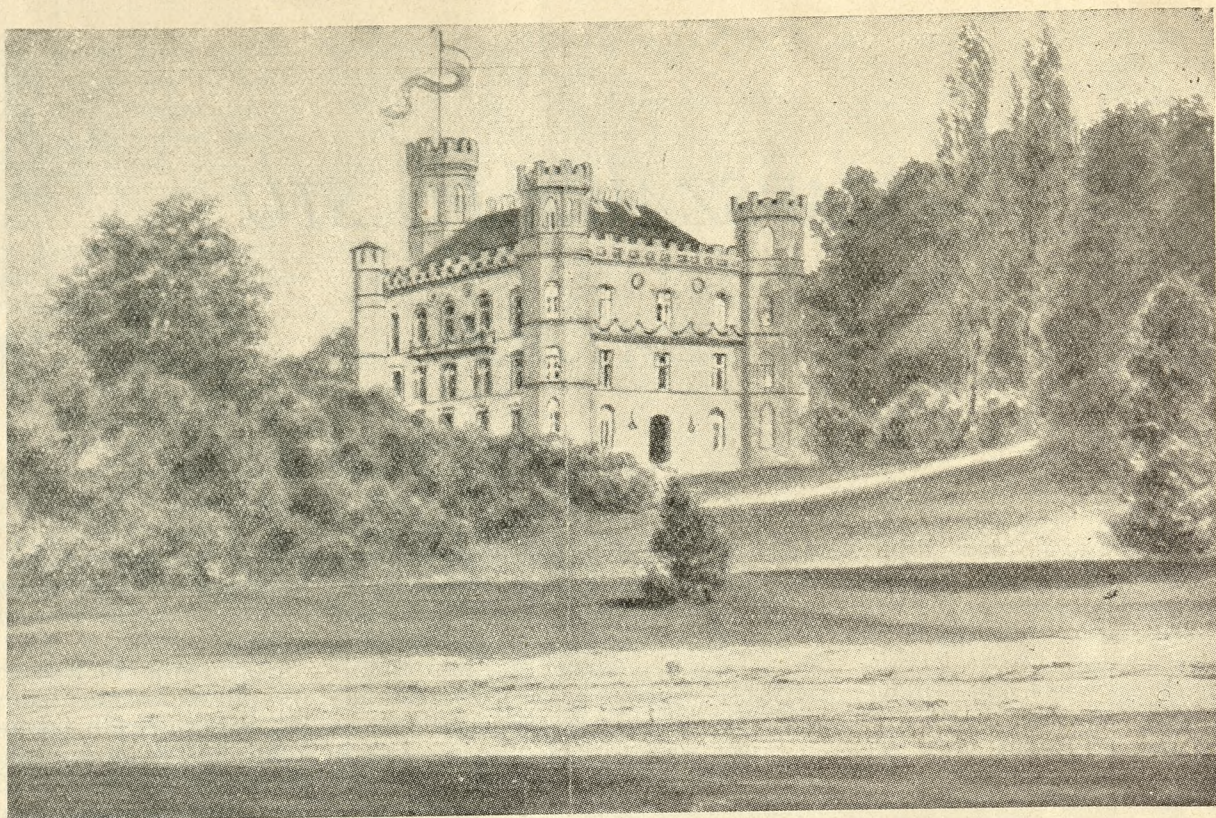
Choć również dziwi mnie, że żyć można z ludźmi, którzy mają prawo cały dzień do nas telefonować. Najlepiej w porze obiadowej, bo wówczas wszyscy są w domu. Obiad, podminowany obawą serdecznie witanych, choć źle widzianych gości, nie jest bynajmniej wolny od przyjaciółek. Waza na stole — już zaczynają się odzywać! Pan Karol każde odejście żony od stołu opatruje głośnem przekleństwem. Oczywiście, że te niemiłe epitety do słuchawki nie wpadają. Tylko słówka czule i wesole.

Po skończonej zaś legumin'e, gdy mąż drzemie, oczekując naprawdę pożądanego, a dziś tak rzadkich gości — chorych, gdy jest lekarzem. klientów, gdy jest adwokatem — pani Karolowa, nie bacząc, że u sąsiadów później jedzą obiad, zaczyna najbliższą rozmowę o najbliższej rzeczy. Usiądzie, prawie leży, albowiem w przedpokoju pod aparatem stoi fotel tak wygodny, jak w separacie szpitala Dzieciątka Jezus. I będzie gadała, gadała... Tymczasem ostygnie nie tylko zupa, ale i mięso.

Nigdzie zasada „Nie czynj bliźniemu, co tobie niemiło“ nie jest mniej stosowana, aniżeli w Warszawie, w mieszkaniach, które mają telefony.

Wydało mi się, że Polska nie pod każdym względem dostroiła się do hasła dzisiejszego dnia: „Tempo, Tempol“.

Aura Wyleżyńska.



Zamek nad jeziorem Starnberg, w którym się utopił Ludwik II, król bawarski.

2

Elżbieta cesarzowa austriacka

Stan fizyczny cesarzowej w tym okresie jest tak groźny, organizm jej tak straszliwie wyczerpany, że lekarze nie znajdują rady. Djagnozy ich błędzą poomacku. Wreszcie, zawyrokowawszy początek suchot, zalecają Elżbiecie kurację w ciepłym klimacie wyspy Madery. We wrześniu 1860-go roku chora odpływa z Triestu ku nowym możliwościom i nadziejom. Te ostatnie nie okazały się zwodniczymi. Barwy, światło, spokój, oddziałują niezwłocznie na duszę i ciało Elżbiety. Doświadcza natchmianstowej niemal ulgi, odzyskuje piękność, zdrowie i radość życia. Otacza się dziełami swych ulubionych autorów, jak Byron, Shelley, Sheakspere, Rousseau, Leopardi i Heine, umiłowany Heine... Znajac wybornie cztery, czy pięć języków, czyta wszystko w oryginale, żyje głębokim życiem wewnętrznym, w ścisłym zespole z przyrodą, w iście panteistycznym poczuciu swojej z nią nierozdzielności. W maju 1861-go roku powraca do Wiednia.

Hofburg jest sztywny, pompacyjny i nudny, ale cesarzowa ma własną pełną spokoju i siły. Udźwignie nawet jarzmo etykiety. Odnajduje swe dzieci, do których tęskniła. Po-

stanawia nie opuszczać ich więcej, kierować ich wychowaniem. Z rozkoszą odwiedza także swoje konie i zażywa porannych przejażdżek po alejach Prateru. Ale przeceniła swe siły. Organizm jej nie znosi jadu dworskich intryg, sztuczności, ceremonjału, niewoli. Choroba powraca. Jaka choroba? domniemane suchoty, czy wewnętrzne uszkodzenie organów kobiecych? Lekarze nie znajdują odpowiedzi, lub może nie chcą formułować prawdy. Bo cierpieniem jej jest dziedziczna skaza, tragiczna newroza Wittelsbachów, chorobliwa emocjonalność. Zalecają cesarzowej ponownie klimatyczną kurację, tym razem na wyspie Korfu.

Cudowny zakątek, pełen greckich reminiscencyj, oddziałują dobroczynnie na psychikę i organizm Elżbiety. Ma wrażenie, iż odnalazła tu ojczyznę swojej duszy. Mówi, że gdyby mogła, zamieszkałaby tutaj na zawsze, pospolu ze wspomnieniami starożytnych bohaterów Illiady i Odysei. W kilka lat później zbuduje sobie na Korfu dom własny, biały od marmurów, greckiej płaskorzeźby i posągów, skąpany w kwiatkach i podwójnym lazurze morza i

nieba. Sama narysuje plan tego domu, sama doglądać będzie wykonania całości i szczegółów. Nazwie go „Achilleionem” na pamiątkę Homowego bohatera. Umiłowała go więcej, niż innych, gdyż wedle jej własnych słów: „Achilles żył tylko swoimi snami, bo sny jego były mu droższe, niż życie”.

Zbuduje tutaj również grecką świątynię ukochanemu poecie Heinemu.

Nie wie, że i z tego domu wyżenie ją nie raz później nieznosny ucisk duszy, śmiertelna rozpacz, oblakający strach przed zagadką śmierci.

W wiele lat po jej skonie cesarz Wilhelm założy u brzegów Korfu stację łodzi podwodnych, a nie mogąc znieść w pobliżu tej bazy posągu Heinego — poety, który bluźnił jadowicie przyszłości Niemiec — wywlecze cenną rzeźbę z greckiej świątyni i zastąpi ją statua gipsową samej cesarzowej, pozbawioną walorów artystycznych i nie dostosowaną do wysokiego poziomu estetycznego Achilleionu. Można mieć państwo potężne, flotę i armję, a być jednocześnie barbarzyńcą.

Elżbieta powraca do Wiednia, pełna najlepszych zamiarów, ale ar-

cyksiężniczka świekra, dla której choroby synowej są wymysłami i histerją, zdążyła już zagarnąć w despotyczne ręce opiekę nad jej dziećmi, „opuszczonemi przez matkę“, zdążyła „pokochać je, jak swoje własne“. Nie ustąpi miejsca cesarzowej, nie wyrzeknie się nabytych rzekomo praw.

Elżbieta protestuje, wybucha niesłychaną gwałtownością, ale nie zyskawszy poparcia męża, wykonuje gest najwyższej dumy i obrazy: opuszcza Wiedeń. Postanawia nie wracać nigdy. Ulegając jednak prośbom Franciszka Józefa i matki swojej, arcyksiężniczki Ludwiki, zgadza się na złagodzenie wyroku. Owszem, powróci, czasami, parę razy do roku...

Rozpoczyna życie wędrowne, które wreszcie stanie się jej manją, coraz bardziej bolesną, coraz bardziej męczeńską. Zwiedza najcudowniejsze zakątki ziemi, pływa własnym yachtem po morzu Śródziemnem, zapamiętuje się w kontemplacji przyrody, ale myśli, jakie wypracowuje, poważne są i nacechowane bezbrzeżnym pesymizmem. Posłuchajmy jej samej:

„Jakżeż tu nie widzieć bezużyteczności, omyłek, mistyfikacyj pracy ludzkiej? Poco wysiłki, skoro niema trwałych dzieł? skoro jeszcze przed upływem wieku zniknie zupełnie wszystko to, co nam się dzisiaj wydaje najbardziej potrzebnem, najbardziej trwałem, wszystko, cośmy najwięcej kochali

i co zdobywaliśmy z największym trudem?... Jesteśmy tylko widmami, które kołyszą się przez moment na ziemi, poczem wracają do niebytu“. „Polityka nie interesuje mnie wcale, jest tylko złudzeniem. Mężowie stanu sądzą, że kierują wypadkami... Co za błąd! Wszystko, co przychodzi, jest wynikiem istniejącej oddawna konieczności. Opatrzność, Przeznaczenie lub może Przypadek kierują światem. Najznakomitsi monarchowie i najzdolniejsi ministrowie nie czynią nic innego, tylko przystosowują się do tej nieprzepartej siły rzeczy...“.

Życie jednak przechodzi zwycięsko ponad teorjami i zmusza Elżbietę do ponownej akcji politycznej. Wojna z Prusami i klęska wojsk austriackich pod Sadową w dniu 3 lipca 1866-go r. wstrząsnęła posadami monarchji. Traktat w Pradze i utrata Wenecji... zmierzch prestige'u Austrii, hegemonja Prus... Cesarzowa pełni swą powinność. Podtrzymuje energję Franciszka Józefa i mężów stanu, rozłącza opiekę nad szpitalami, współczuje czynnie wszystkim niedolom ludu. Niepomna osobistych uraz — nie opuszcza Wiednia przez długie tygodnie.

Zaburzenia wewnętrzne, a zwłaszcza groźna postawa Węgier, sprawiają, że cesarz powierza jej trudną misję załagodzenia konfliktu. Elżbieta, odważna i zdecydowana, nie waha się przed podróżą do Pesztu, aczkolwiek przewiduje ewentualność najgorszych możliwości. Wiedzioną nieomylnym instynktem ko-

biecej dyplomacji, zabiera ze sobą tylko dzieci, Rudolfa i Gizellę, jak gdyby powiedzieć chciała narodowi węgierskiemu, że oto bezbronna i ufna, powierza się jego rycerskim instynktom wraz z tem, co ma najdroższego w życiu. Gestem tym wytrąca broń z ręki najzagorzalszych. Ucisza nienawiść, jaką lud zieje w stosunku do dynastji Habsburgów. Sama prowadzi pertraktacje z przywódcami stronnictw — Franciszkiem Deakiem i hr. Juljuszem Andrassym. Jest uosobieniem inteligencji, taktu, wdzięku, szczerości i uprzejmości. Węgrzy mówią o niej teraz: „nasza piękna Opatrzność“...

Połączenie Węgier z Austrią pod berłem Habsburgów i dzień koronacji Franciszka Józefa w Peszcie będzie dziełem jej politycznego geniuszu. Okrzyki: „Niech żyje król!“ łączyć się będą z radosnem „Eljen Erzsébeth!“... a jeden z uczestników święta narodowego odmaluje nam królową węgierską w następujących słowach:

„Stała na trybunie, przystrojonej kwiatami, o barwach heraldycznych Bawarii: białej i błękitnej. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak piękną. W swym połyskującym dżemie była biała, jak marmur, a dziwna nieruchomość ciemnych oczu nadawała jej wyraz tragicznej ekstazy...“.

W sercu cesarza wybucha nawałny dawny, przytłumiony ogień miłości. Zdumiewa go i czaruje jej nadzwyczajna, trwała piękność. Bo Elżbieta kocha swe ciało. Zna władzę urody, jej cenę i przywileje. Dba o nią, troszczy się o wszystko, co konserwuje wdzięki, a środki, jakimi się posługuje w tym celu, są najracjonalniejsze, godne dzisiejszej elegantki. Więc masaż, kąpiele, długie piesze spacer, konna jazda, gimnastyka pokojowa... Przesunie granice swojej młodości daleko po za zwykłe lata, a ilekroć znajdzie się w towarzystwie władczyń sąsiednich monarchij — będzie najpiękniejszą z nich.

Wkroczyła teraz z okres nowych powodzeń: Wiedeń przebaczył jej dawne fantazje, humory i ucieczki; Węgrzy, chcąc bardziej przywiązać ją i przyciągnąć do kraju, ofiarowują jej przeszliczną posiadłość „Goddollo“, w okolicach Pesztu, a arcyksiężniczka Zofja — moralna sprawczyni klęski pod Sadową i zły duch cesarza — traci popularność i, rozgoryczona, usuwa się od życia publicznego.

W dniu dwudziestym drugim kwietnia 1868-go roku przychodzi na świat trzecia córka Elżbiety, Maja Walerja.

Jest w życiu cesarzowej austriackiej pewna karta, otoczona nieświadomością potomności, pragnącej sprowadzić wszystko zawsze do zwykłych szablonów i wyjaśnić bez reszty.

(d. c. n.).

S. Borowska.



Cesarzowa Elżbieta.

U WAS I U NAS

GENOVA LA SUPERBA PLACZE

Pociąg, idący z Rzymu do Tury-
nu szlakiem nadmorskim, przystaje
w pomroce nocnej. Deszcz szemrze
sennie. Na lewo, w dole widać roz-
siane tłumnie ogniki jakiegoś mia-
sta: może to *Spezia*? Woda zatoki
jest czarna. Upał w przedziale potę-
guje się nieznacznie. Mój sąsiad zprze-
ciwka neglżuje się coraz bardziej,
szarpiąc niecierpliwie kołnierzyk i
supeł krawatu.

Gdy wydobywam się z waty-
snu, pociąg gna nadbrzeżem w
mdłym, malachitowym blasku ran-
ka. Morze rozpienia się w dole z hu-
kiem i pasją na skałach. Woda jest
zielenawa i zła. Skałne ostrogi bo-
dą zwelnione morze. Przewijamy się
przez tunele, obwieszając swój
wjazd piskliwym sygnałem. Świat
zwiększa się i potyka na skłębieniach
chmur, które zatamowały cały hory-
zont.

Wreszcie ponad szare szmaty
mgieł i chmur tryska krew wscho-
du. Światło drży nerwowo i niepew-
nie. Na chwilę przejeżdża sztychem
przez mętłą zieleni wody i krzesze
jakieś niepojęte załamania i zorze.
Potem połyka je unoszący się wał
chmur. Tunel wyrzuca nas na za-
mroczone, groźny świat.

Sestri Levante, bukiet zieleni i
drzew, wpięty w skały, tchnie pust-
ką i ponurością. Dworzec w Genui
połykuje złowrogo. Ledwie stawiam
pierwszy krok na bruku miasta,
gdy z góry rzuca się ulewa, jak dra-
piezca. *Il piave!* Co to — leje, jak
z cebra!

Zaczynają się dziać rzeczy dziw-
ne i przerażające. Deszcz bryzga i
bluzga nieustannym krwotokiem.
Ludzie zmykają w popłochu. Na
flizach chodników odbija się struga
deszczu istną fontanną.auta chla-
pią, roztrącając strumyki wody na
jezdni, tramwaje wyciskają z szyn
wodę. Ulewa tętni i szaleje nad mia-
stem. Mam niezmienny zwyczaj zwie-
dzania obcych miast całkowicie na-
oślep i wiedziony instynktem. Gar-
dząc Baedekerem, czy jego młecz-
nym bratem Griebensem, unikając
pytania o ulice i kierunek, stroniąc
od „godnych widzenia obiektów” i
stacyj autokarów dla znudzonych
i bezradnych etranżerów — brnę w
tej podzwrotnikowej ulewie naprze-
łaj i z uporem. Nawet jednak ta fa-
talna chlapa, która potem okazała
się oberwaniem chmury, nie potra-
fi osłabić we mnie zachwyty dla
wspaniałości architektury genuen-
skiej. Domy, wspinające się jedno
nad drugim po pochyłościach pa-
górów, są zbyt piękne, aby można
nie podnieść ku nim oczu, nawet

pod grozą zalania twarzy strugą de-
szczu.

Raz po raz wpadam w bramy
domów o pysznych portalach, o
dziedzińcach obstawionych kolum-
nami, zaludnionych palmami. W do-
le majączą ogrody. Powietrzne „log-
gie”, rzeźbione fronty, schody mar-
murowe, odrzwia — wszystko to mó-
wi, że to miasto Kolumba posiada
odwieczną zamożność, że lubi cheł-
pić się swoim bogactwem.

Genua, której włosi nadali słusz-
nie nazwę „dumnej Genui” — *Ge-
nova la superba* — wystawia swo-
je piękno zaraz u wstępu. Przypomi-
na może w tym względzie Buda-
peszt, który nad wstęgą Dunaju,
nietylę może modrego, ile żółtawo-
szarego, ustawił wszystkie cuda swej
architektury i wszystkie swoje wiel-
kopańskie i wielkomiejskie ambicje.
O ile jednak piękno Budapesztu
jest niedawnej stosunkowo daty i
jego budowle posiadają jeszcze nie-
startą świeżość, Genua mówi już hi-
storją i tą pewną nutą dyskrekcji,
jaka łączy się z miastami, zaludnio-
nemi echami historii. W zestawie-
niu z Genuą, pyszny Budapeszt wy-
da się nam nieco parwenjuszowski,
nieco zbyt forsujący swoją nieza-
przeczoną wspaniałość.

Moja przerywana wędrówka wie-
dzie mnie przez rozległe ulice, pla-
ce i podcienia ku promenadzie nad-
morskiej. Czuję wyraźnie, że zy-
skałem niepomnie na wadze, a
paszcze rynien, uwieszonych gdzieś
wysoko, plują złośliwie na głowę.
Nie mam już nic do stracenia —
przemokłem doszczętnie.

Gdy tylko ulewa naciha, wyska-
kuje ze swego przypadkowego
ukrycia i oglądam sobie jakiś koś-

ciół, zatłoczony mrokiem, albo pa-
łac, czy uliczkę wąską, uroczą, o
schodach awanturniczych i stro-
mym. Witraże przesączają mdle
światło, a po kątach jakieś babiny
genuenkie opowiadają sobie wcale
głośno rzeczy, które napewno nie
mają nic wspólnego z modlitwą.
Sprzedawcy kartek i pamiątek przy-
cupnęli za filarami kościołów i da-
ją spokój warjatom, którzy ugania-
ją się w deszcz po Genui.

W chwili, gdy stopień mokości
mojego płaszcza osiąga punkt nasy-
cenia, ulewa urywa się nagle i sta-
nowczo. Chmury gramolą się, jak
nieporadne, ciężkie zwierzęta, i od-
maszerowują poza pagóry, na któ-
rych rezyduje *Genova la superba*.

Coraz przestronniej czyni się wo-
koło i coraz widoczniej zbliżają się
wzgórza dookolne. Cała krasa Ge-
nui uwypukla się w południe, któ-
re filtruje słońce coraz bardziej pro-
mienne i pewne. A wreszcie po jed-
nym i drugim szturmie na rozszar-
pane obłoki, światło zwycięża. Ge-
nua tonie odrazu w słońcu.

Domy na wzgórzach stają się jas-
ne i oślepiające od blasku. Zatoka,
gdzie kolebią się kolosy oceaniczne,
dostojne i pachnące przestrzenią,
nabiera tonów bladej farbki, roz-
puszczonej w wodzie. Syreny okrę-
towe targają powietrzem. Miasto
łśni od świeżej ulewy.

Czas słońca jest krótki i złudny.
Gdy popołudniu wciskam się w kąt
przedziału pociągu, idącego do Me-
djołanu, zastona chmur zjawia się
nagle i niespodzianie.

Uśmiech Genui przepada. Zatoka
kołysze się, siepana deszczem.

Wczesna noc zamyka się nad po-
ciągiem.

Zbigniew Grabowski.



Widok na słynne Campo Santo w Genui.

Jak się Paris bawi zabawy

W rozmaitych czasach rozmaicie rozumiano zabawę. Moje najstarsze ciotki przysięgają, że zdarzało się im jechać, stojąc w karecie, przez dwadzieścia kilometrów, żeby nie pognieść tarlatanowych falban, świeżo nafastrygowanych przez pannę służącą. A i po przyjeździe nie wolno im było usiąść między jednym tańcem a drugim, aż zupełnie nad ranem, kiedy już było wszystko jedno (dlaczego nad ranem było „wszystko jedno” — żadna z ciotek nie umiała mi dokumentnie wytłumaczyć).

Najdziwniejsze w tem wszystkim jest nawet nie to, że takie wymyślne tortury nazywano wtedy *zabawą*, ale że stare damy wspominają to po dziś dzień, jako *zabawę*, i to pierwszorzędną. Ha! dobre wtedy musiało mieć zdrowie, mocne nerwy, no i chyba naprawdę nie lepszego do roboty. Bo żeby tak kazać kobiecie współczesnej, takiej, coto ma i biuro, i dom, i męża, i dzieci, i pracę społeczną — jeszcze stać w powozie... Nie, dziękuję! stanowczo wolę zrezygnować z „zabawy”.

Jeżeli dawniej zabawa była sposobnością do wyładowania nadmiaru sił żywotnych, nagromadzonych w spokojnem, beztroskiem bytowaniu, to dziś — naodwrot: pragniemy, by była wypoczynkiem, oderwaniem od powszednich trosk, błogiem zapomnieniem. Chcemy mieć z tą zabawą jaknajmniej kłopotu, móc ją potraktować bezceremonjalnie, nie potrzebować o niej zbyt wiele myśleć zawczasu.

Stąd powodzenie dancinów, które z trudem pojmują zamożni ludzie starej daty. Bo na dancin można pójść zawsze. Bo na dancin ceny są stałe, bez nieprzewidzianej i nieobliczalnej karoty „na cel”. Bo dancin nie wymaga specjalnych tualet. Bo na dancingu są miękko rozproszone światła, nie przyprawiające o ból głowy, i wygodne stoliki, przy których można „mieszkać” i przyjmować wizyty, jak w teatralnej łoży. No i bo na dancin gi chodzi się zwartą paczką i nie ma się żadnych obowiązków względem reszty towarzystwa.

Nikt nie chce chodzić na wielkie bale reprezentacyjne, urządane w wielkich, białych, zimnych salach,

oświetlonych a giorno. Nawet te nie-liczne śmiertelniczki, które stać na grandes toilettes, nie mają ochoty ogrzewać ciepłem własnych, obnażonych ramion — olbrzymich pałacowych amfilad, opalanych parę razy do roku. Ani ratować od beznadziejnych rozczerowań panny, przybyłe z prowincji na stołeczny karnawał (pokażcie mi takiego tancerza, co się zgodzi tańczyć na komendę!). Ani placić po pięć złotych za szklankę mętnej limonjady, dlatego, że ją sprzedaje żona mężowego dyrektora. Ani wysiadywać melancholijnie na krzeselku pod ścianą, przyglądając się z rezygnacją tym samym parom, wyczyniającym od szeregu godzin te same łamańce (podobno dawne kontredanse, figurkowe mazury i kotyłjony były widowiskiem mniej monotonnem).

Widzę już przerażone miny czytelniczek, pracujących w sekcjach dochodów niestałych różnych pożytecznych instytucyj.

— Jakto? więc pani sądzi, że dobroczynne imprezy balowe skazane są w tym karnawale na deficyt?!

— Bezwarunkowo.

— Więc co począć? Bo przecie pieniądze są potrzebne, potrzebniejsze, niż kiedykolwiek. Co urządzać?

— Bo ja wiem! Może też dancin gi? Dancin gi, z zastrzeżeniem, że nie będzie na nich żadnej karoty. Dochód niewielki, ale zato pewny. Albo też coś bardziej pomysłowego: kabarety artystyczne, mówione dzienniki... Zerwać z ponurym szablone wielkiej sali i wielkich nudów. Czasy są zbyt ciężkie, żeby można było jeszcze znaleźć miłych ludzi, coto biorą bilety przez grzeczność, nie pytając, gdzie i na co, bo i tak nie przyjdą. Obecnie, nawet dając pieniądze na cel społeczny, każdy chce wiedzieć dokładnie, co wzamian otrzyma.

— A zabawy w domach prywatnych?

— No, chyba o wielkich przyjęciach w tym roku nie może być mowy? Ale właśnie dlatego można by pomyśleć o małych, o bardzo skromnych, bardzo bezpretensjonalnych herbatkach. Pogawędka, kanapki, gramofon i... dużo dobrego humoru.

— O to teraz najtrudniej.

— No, to specjalnie się postarać. Zamiast egzotycznych owoców — porcja dobrego humoru, tem cenniejsza, że rzadka. Proszę mi wierzyć, że goście, niezgnębieni wspaniałością przyjęcia i troską o przyszły, kosztowny rewanż, nie będą trudni

do rozruszania. Tylko nie dać im mówić o kryzysie, ani zamieniać złośliwych docinków. Z punktu odpowiedzialności parę zabawnych anegdot, obrócić w dobroduszny żart kwaśno-słodkie przymówki, upewnić wszystkie panie, że prześlicznie wyglądają i że się absolutnie nie poznało ich zeszłorocznych sukien — a wytworzy się nastrój przemily.

Czy to raz zdarza się słyszeć podobne rozmowy:

— Ach, jaka ja jestem zmęczona! Ten karnawał!... Byliśmy na przyjęciu w poselstwie — tłok i nudy. Potem wypadło pojechać na bal na moralnie zaniebanych mężów (należałam do komitetu) — pustki i nudy. W szatni ziało i przeciągi.. obawiam się, że będę mieć grypę. Więc pojechaliśmy na pociechę do „Sahary” na kolację. Upał, tłok i nudy. Powietrze można było krajać w kostkę, kotlety de volaille były jakieś dziwne, dotąd je pamiętam. Nadomiar złego, ktoś przewrócił sosjerkę z majonezem na moją paryską tualetę... Ach, nie warto wspominać! A państwo? Coście wczoraj robili?

— Bawiliśmy się świetnie u Igrekowskich.

— Taak?.. Czy oni mają takie duże mieszkanie, żeby urządzać przyjęcia? Słyszałam, że to ludzie niezbyt zamożni.

— Zupełnie niezamożni. I mają dwa małe pokoiki. To też zorganizowaliśmy zabawę na prawach pikniku. Każdy z gości coś przyniósł: panie — przekąski, panowie — spirytualja. Igrekowska przygotowała kawę, herbatę oraz trochę owoców i słodczy. I było bardzo wesoło. Najciekawsze było to, że każdy czuł się potrosze gospodarzem i poczuwał się do obowiązku robienia honorów domu. Stąd nastrój wyjątkowej wprost, wzajemnej uprzejmości. Tańczyliśmy do trzeciej w nocy, w cztery pary. Potem wyszliśmy wszyscy, razem z gospodarzami, na miasto, i że to noc była rozkoszna, lekko mroźna, odprowadzaliśmy się wzajemnie jeszcze z półtorej godziny.

— Doprawdy, słucham pani opowiadania, jak bajki o żelaznym wilku. Nigdybym nie przypuszczała, że dorośli ludzie mogą jeszcze tak się bawić niefrasobliwie i bezpretensjonalnie.

— A właśnie, proszę pani: niefrasobliwość i bezpretensjonalność — to podstawowe składniki każdej zabawy, która jest naprawdę zabawą, a nie celebrowaniem uroczystej nudy.

Jadwiga Kiewnarska.



Stanisław Niesiołowski: portret p. G.



Henryk Szczygliński: „Naren”.

Ostatnie wystawy



Henryk Szczygliński: „Kwitnąca sosna”.



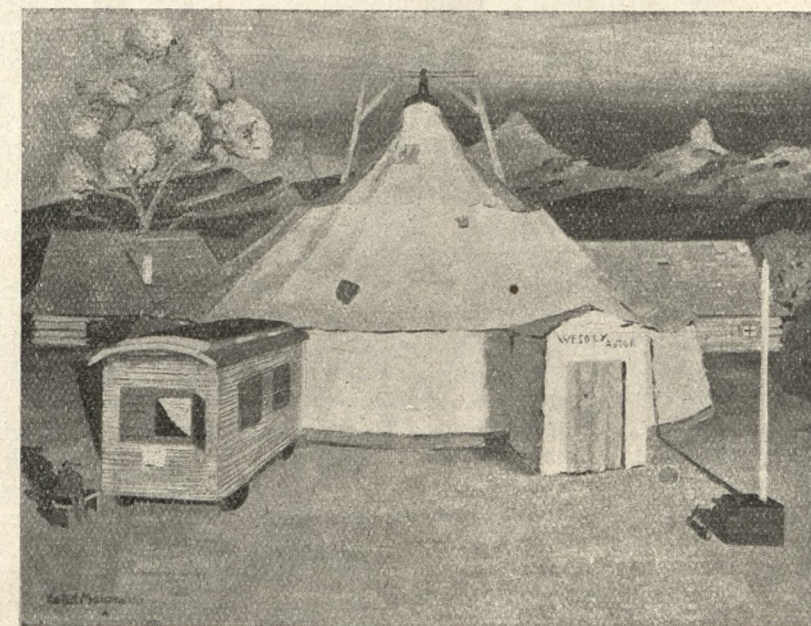
Römerowa: „Opowiadanie niani”.



Irena Luczyńska - Szymanowska: „Portret”.



Władysław Skoczylas: „Żydowski zaułek”.



Rafał Malczewski: „Cyrk”.

Koniec roku stanowi zawsze moment najwyższego napięcia ekspansji wszystkich wystaw plastycznych. Jest to okres t. zw. Salonów Dorocznych i Zimowych, reprezentujących w pojedynczych, przesianych przez sito jury, pracach, sumę całorocznego dorobku artystów, i wystaw „gwiazdkowych”, mających cele czysto merkantylne. I jedno i drugie odwiedzone są tłumnie przez publiczność, zarówno laików, jak i miłośników, z których coraz to mniejszy procent staje się *nabywcami*, nie przez upadek zamiłowań artystycznych, ale dzięki hamulcowi kryzysowemu. W Warszawie dwie odrębne instytucje, „dwa na słońcach swych przeciwnych bogi” — stara Zachęta, rozporządzająca przestronnymi, doskonale oświetlonymi salami, i młody, pełen wigoru Ips, który teren swej ekspansji zacieśnił zewnętrznie lokalem kawiarni — prześcigają się nawzajem w szybkości przemiany materii plastycznej.

Po zbiorowej wystawie rzeźb Wittiga, związanej z odsłonięciem pomnika lotników na Placu Unji, i prac Czyżewskiego, jednego z najzdolniejszych przedstawicieli awangardy malarskiej, Ips w drugiej połowie grudnia zmanifestował swoje istnienie Salonem Dorocznym, w którym wzięło udział zarówno młode pokolenie artystów, jak też i część starszego, poczuwająca się do ideowej, jeśli nie formalnej solidarności z tendencjami młodych.

„Gwoździem” i sensacją wystawy są prace malarskie... Dunikowskiego. Genjalny rzeźbiarz dał dowód, że umie widzieć rzeczywistość i na płaszczyźnie dwuwymiarowej. Jego koncepcje malarskie powstały raczej pod znakiem koloru, niż kształtu, co świadczy o zdumiewającej wprost żywotności tego talentu, przerzucającego się z taką łatwością i swobodą z jednej sfery sztuki w drugą.

Inni artyści starszego pokolenia idą konsekwentnie drogami, uartymi przez ich stałe predyspozycje twórcze, osiągając nieraz w tym zakresie wyniki pierwszorzędne, np. Kowarski w swym mrocznym „romantycznym” krajobrazie, albo Szczepkowski w swym

ołtarzu, w drzewie rzeźbionym, pełnym wybuchowej dynamiki. Młode pokolenie tworzy pod znakiem koloru, traktując rzeczywistość jedynie jako materiał do dowolnych kompozycji, deformujących kształt przedmiotu na modłę indywidualnej koncepcji mózgowej i swoistego widzenia. Prym trzymają t. zw. „kapiści”, przenoszący żywem na grunt polski manierę paryską. Z pod nakazów tej modnej „abstrakcyjności” wyłamują się niektórzy z byłych uczniów Szkoły Sztuk Pięknych, obok kultu barwy nie zaniebawiając kultu kształtu. Ostatnie wystawy w Zachęcie znamionuje objaw b. pożądany: ogólne podniesienie poziomu artystycznego. Kolekcje prac dwu pejzażystów: Szczyglińskiego i Rutkowskiego — dały nam możliwość zapoznania się z dwoma nawskroś odmiennymi stosunkami do rzeczywistości.

Szczygliński, uczeń Stanisławskiego, wydobywa z pejzażu widzianego nastrój. Jest typowym lirikiem, operującym efektami barwnymi momentu. W jego dawniejszych krajobrazach dominują tony zimne, szare; w późniejszych — gorące, złote i czerwone barwy zachodu. I w jednych i w drugich Szczygliński jest sobą, pełnym temperamentu polskim impresjonistą, nie poddającym się niewolniczo ani wpływowi Wschodu, ani Zachodu.

Pejzaże Szczęsnego Rutkowskiego — to stylizowane kompozycje na tle motywów swoich, dające dowód dużej kultury i subtelności. Sugestywny urok wywiera cykl krajobrazów przedstawiających wybrzeże Wisły pod Włocławkiem w rozmaitych porach roku.

Na Salonie Zimowym dominują kompozycje, studia portretowe i akty. Dużo prac kobiecych pierwszorzędnej wartości: portrety Luczyńskiej - Szymanowskiej, pejzaże Krzyżanowskiej, sceny rodzajowe Römerowej.

Dużo jednak i tej łatwej, szablonowej przeciętności, która się podobą... osobom portretowanym, ale w dorobek artystyczny nie wnosi nic nowego. W ten sposób mści się na artystach uleganie Molochowi pokupności.

S.P.O.

HARMONIA I EKONOMIA ODŻYWIANIA

Harmonia odżywiania polega na tem, ażeby spożywane pokarmy dostarczały organizmowi wszystkich składników, niezbędnych do budowy i odnawiania tkanek oraz do spełniania poszczególnych funkcji, a zarazem nie zawierały nic w znaczniejszym nadmiarze.

Ekonomia odżywiania powinna się przejawiać nie tylko w stosunku do wydatków pieniężnych na jedzenie, lecz przede wszystkim w kierunku oszczędnego używania sił organizmu na przetrawienie i usuwanie nieprzydatnych resztek pokarmów.

Badania medyczne stwierdzają, że więcej ludzi choruje i umiera z nadmiaru spożytych substancji, niż z ich niedoboru.

I tak np. niezmiernie rozpowszechniony artretyzm ma główne swe źródło w przeciążaniu żołądka i kiszek pracą trawienną, a nerek pracą wydzielczą. Nowoczesna medycyna za przyczynę gruźlicy podaje artretyczne zanieczyszczenie organizmu, a zabójczy rozwój łasiecznika gruźliczego za zjawisko wtórne. Prawie każdy społecznik człowiek nosi w sobie zarodki gruźlicy, lecz dopóki plazma organizmu jest zdrowa i odporna, łasiecznik jest nieszkodliwy.

Statystyka wykazuje, że w najniebezpieczniejszych mieszkaniach Warszawy odsetek skonów gruźliczych wśród chrześcijan jest dwa i ćwierć raza większy, niż wśród żydów. Śmiertelność na gruźlicę jest stosunkowo większa w okręgu Nowo-świeckim i Ujazdowskim, niż w dzielnicach żydowskich, mimo całego brudu Nalewek, Muranowa i t. p.

Zatem nie nędza mieszkaniowa jest głównym powodem gruźlicy. Nie jest nim także bieda w spotykanych granicach, bo odsetek skonów gruźliczych zmalał u nas w latach kryzysu ekonomicznego. Już w czasie ostatniej wojny zauważono np., że jeńcy z Francji, mimo ogólnego wycieńczenia na niemieckiej zupce z brukwi, wykazali pewną poprawę pod względem gruźlicy. Nadmienmy tu, że niema powietrza, któreby mogło zatruwać płuca w tym stopniu, jak w wypadkach chronicznej obstrukcji zatruwają je gazy z iadów kiszkowych, wdzielane drogą płuc, a podczas głodu кишки są puste.

Chociaż gruźlica „osłabła“, ilość skonów na gruźlicę wynosi i obecnie w Warszawie szesnaście i jedną trzecią procent, a świat medyczny podaje, że na pięć osób, chorych na gruźlicę, tylko jedna umiera z tej

choroby; zatem cztery piąte ludności Warszawy podlegają wyszczerbieniu wartości życia przez gruźlicę. Główną przyczyną tego jest brak harmonii i ekonomii w odżywianiu.

Chodzi tu pozornie o błahostki; jedną z najpoważniejszych przyczyn gruźlicy jest niedożywianie na punkcie wapna. Profesor Kraszewski, badając odżywianie ludu warszawskiego, stwierdził, że przeciętne pokarmy dostarczają warszawianom jednej trzeciej grama wapna dziennie, gdy medycyna podaje, jako niezbędne minimum — półtora grama dziennie.

Według statystyki skonów, śmierć na gruźlicę zagraża obecnie w Warszawie przeszło dwustu tysiącom osób, a trzem do czterech milionów — w całej Polsce.

A oto inny przykład straszliwych następstw braku harmonii w odżywianiu: ażeby kiszkę należycie pracowała, trzeba w pokarmach, oprócz materiałów łatwo strawnych, przyjmować również t. zw. balast, którego najlżejszym typem jest łuska zbożowa. Tę łuskę zbożową, niestety, oddajemy w otrybach dla zwierząt, a sami spożywamy najdelikatniejsze jądro ziarna zbożowego, co prowadzi do zamulania przewodu pokarmowego i do chronicznych zastoin.

Jako statystyczny miernik chronicznej obstrukcji uważany jest odsetek skonów na raka, który zabija w Warszawie z pośród osób, które przekroczyły pięćdziesiątkę, co szóstą kobietę i co siódmego mężczyznę. Jeśli błędy odżywiania nie ulegną ogólnej poprawie, to — według statystyki skonów — śmierć w torturach raka zagraża obecnie dziewięćdziesięciu tysiącom warszawian.

Brak harmonii i ekonomii w odżywianiu nie stanowi też źródła rozkoszy życia, gdyż wśród smakoszów i sybarytów nie milkną rozmowy na temat cierpień żołądka, kiszek, wątroby, nerek, bólów głowy, sklerozy, duszności, dolegliwości artretycznych i reumatycznych etc.

Japończyk, który w porównaniu z nami jest mistrzem harmonii i ekonomii odżywiania, spożywa ilościowo trzy razy mniej pokarmów, niż żołnierz angielski lub uczeń naszych szkół podchorążych i oficerskich, a tężyzną fizyczną przewyższa europejczyków.

Ponieważ rasy ludzkie kształtowały się przez tysiąclecia na pokarmach najtańszych i najpospolitszych, przeto natura nasza jest najlepiej dostosowana do pokarmów najprostszych i najtańszych.

Zestawienie odżywiania nie powinno zależeć od wypadku, lecz musi być planowane na okresy przynajmniej miesięczne.

Wzór świetnego odżywiania, które w przeliczeniu na naszą walutę kosztowałoby dziewięćdziesiąt groszy dziennie na osobę, znajdujemy w wyjątkach z budżetu pani profesorowej Hindhede, żony mędrca, który z wojennej blokady żywnościowej potrafił wyciągnąć naukę dla swej ojczyzny, Danii, jak podnieść ogólną zdrowotność i obniżyć śmiertelność. W domu państwa Hindhede, składającym się z 11 osób, w ciągu miesiąca spożyto: 38 kg. maki i kasz, 34 kg. cukru, 42 kg. chleba, 24 kilo masła i tłuszczów roślinnych, 150 litrów mleka, 5 kilo sera, 2 kilo owoców suszonych, 4 kilo świeżych owoców, 158 kilo kartofli i warzyw, 120 sztuk jaj, 2 i pół kilo mięsa, 15 litrów piwa, nieco kawy i herbaty, oraz przypraw (piwo i mięso było tam dla gości).

Wynikiem tego rodzaju spartańskiego odżywiania było tak świetne potomstwo, że rówieśnicy nie mogli go doścignąć, ani pod względem wzrostu i siły budowy ciała, ani też pod względem sprawności w naukach i sportach. Pod względem piękności i powabu młodzi Hindhede pozyskali również rozgłos w świecie.

Przed półtora rokiem odbyło się w Stow. Statystyków i Ekonomistów polskich zebranie odczytowo - dyskusyjne pod przewodnictwem prof. Władysława Grabskiego, na którym p. Bédonin wykazał, że umiejętność odsuwania śmierci na dziesiątki lat tak się rozwinęła w jego ojczyźnie, Belgji, że to już silnie się zaznacza na statystyce pracownictwa. Przedłużanie młodości i życia polega przede wszystkim na racjonalnym doborze, przyrządzaniu i spożywaniu najprostszych pokarmów.

Sprawy te są tak proste i jasne (dzięki niezmordowanej pracy uczonych badaczy), że już się nadają do wprowadzenia do powszechnego nauczania.

Należy więc rozpowszechniać znajomość takich tajników spiżarni, kuchni i piekarni, jak odżywcze i lecznicze lub (przy wadliwym traktowaniu) szkodliwe znaczenie mleka, kapusty, pokarmów zbożowych. Sok, zawarty w dobrych kartoflach, a w naszej praktyce gotowania wylewany do ścieków, jest doskonałą pożywką, lepszą od mięsa, i zarazem lekiem przeciw cierpieniom artretycznym. Cebula i czosnek, jak szerzej wiadomo, i rzodkiew, jak mało kto wie, są świetnymi środkami leczniczymi przeciw chorobom płucnym, przeciw gruźlicy. Ziola —

t. zw. „babskie leki” — powinny wytworzyć wybitną konkurencję zagranicznej kawie i herbacie.

Oto wyjątki z tajników, które powinny być znane każdemu człowiekowi, co chce być silny, zdrow i piękny pięknoscią naturalną, nie zapomocą barwników kosmetycznych. Rzeczy te muszą budzić naj-

wyższe zainteresowanie wśród matek i pań domu, a zaiste jest o czym pomyśleć w Polsce, w której jeden z jaskrawszych dowodów złego stanu zdrowia, jakim jest próchnica zębów, przybiera zastraszające rozmiary, a pochodzi z błędów odżywiania.

Tadeusz Lewicki.

Zima w sadzie

Zdawałoby się, że gdy śnieg przyprószy ziemię białym całunem, a wiatr dmie mrozem, właściciel sadu może się o niego nie troszczyć, jeżeli prace jesienne wykonał we właściwym czasie.

A jednak jest wręcz odwrotnie: właśnie zimą mamy tam wiele roboty. Zaraz z początku, gdy mokry śnieg zaczyna padać wielkimi płatami, trzeba pilnować, aby nie leżał na drzewach grubą warstwą i pilnie go strząsać, nie bacząc, że się człowiekowi przytem za kołnierz nasypie.

Zajęcie, zbałamucenie jesiennym dostatkim, nie mogą się pogodzić, że dnie obfitości karmy minęły i, rozpaczliwie szukając paszy, podchodzą do sadów, racząc się korą. Powstałe stąd rany należy natychmiast opatrzyć przez wygładzenie brzegów, zasmarowanie maścią ogrodniczą (można też użyć do tego gliny z krowieńcem) i okucie szmatą, którą się przymocowuje szpagatem, lub giętym drutem.

W miarę, jak mrozy się powiększają, trzeba kontrolować okrycie delikatniejszych drzewek i krzewów i wszędzie tam, gdzie je wiatr poluzował, trzeba to naprawić.

Kto chce mieć owoce dorodne, nie robaczywe i bez plam, musi swoje drzewa chronić od wszelkiego robactwa.

Zima jest do tego porą najodpowiedniejszą. Tysiące gatunków owadów zimują w szczelinach kory drzewa. Gdy nadejdzie wiosna i zawiążą się owoce, owady te składają jajka (stąd robaczywe owoce), lub też rzucają się na liście, pożerając je chciwie, co również jest z wielką szkodą przyszłego zbioru.

Tym nieprzyjaciółom naszych sadów należy wypowiedzieć walkę na śmierć i życie. W tym celu każde drzewo poddajemy szczegółowemu oglądzinom i zbieramy z niego wszelki nawet ślad jajek czy oprzędów. Samotne liście, smutnie potrącane wichrem, to jakby inkubatory, w których na wiosnę legnąć się będą liszki. Liście te muszą być starannie zebrane i spalone. Oprócz ręcznego zbierania, które zresztą możliwe jest tylko tam, gdzie mamy załędwie kilkanaście drzewek, stosujemy czyszczenie stalowymi szczot-

kami, a na starych drzewkach — skrobaczkami.

Czyszczenie to ma na celu usunięcie zalążków owadów i pozbycie się wszelkich mchów i porostów, mieszczących się na korze, aby powietrze i słońce miało łatwiejszy dostęp. Potem, jeśli drzewa były zaniedbane i mchów na nich dużo, należy jeszcze całe drzewo opryskać lekkim ługiem z popiołu drzewnego. Opryskiwać trzeba w czas pogodny, wczesnym rankiem, lub wieczorem, by płyn jaknajdłużej mógł pozostać na korze. Jeśli czynność ta została wykonana starannie, już po kilku dniach widoczne będą rezultaty. Skoro tylko nastanie okres suchej pogody, mchy zaczną od drzewa odstawać, a pierwszy wiatr je usunie. Po oczyszczeniu pni i grubszych gałęzi, trzeba drzewa pobielić (czynność tę spełniamy zwykle w końcu lutego). Bielimy mlekiem wapieniem, dość gęstem, z dodatkiem gliny i sinego kamienia. Dajemy 25 proc. wapna, 10 proc. gliny i 5 proc. sinego kamienia (siarczan miedzi).

Gлина jest potrzebna dlatego, aby się ta mieszanina dobrze trzymała na drzewie, a nie spływała; siny kamień zabija pozostałe zalążki owadów; wapno wpływa na lepsze kruszenie się kory, a biały kolor drzew, jaki tym sposobem otrzymujemy, ma ochronić korę przed przemrożeniem i przed zbyt silnymi promieniami wiosennego słońca.

Jako ostatnie dotknięcie różdżką, traktujemy opryskanie wszystkich drzew cieczą bordoską. Przyrządzenie samej cieczy nie stanowi nic trudnego, ani kosztownego; najważniejsza trudność — to zdobycie opryskiwacza. Niestety, są one bardzo drogie: od 80 — 400 zł., ale czasem ktoś w okolicy posiada taki przyrząd i można go pożyczyć, lub wynająć. Do malowania drzew używa się szczotek malarskich, lub po prostu wiechcia, zrobionego ze słomy z prosa.

Przepis na ciecz bordoską: przyrządza się w drewnianych naczyniach i może być użyta w dniu przyrządzenia.

Wlewa się do beczki 60 l. wody, a osobno w dwóch naczyniach rozpuszcza się: w jednym 2 kg. siarczanu miedzi (t. j. sinego kamienia) w

20 l. wody, a w drugim 2 kg. niegaszonego wapna — także w 20 l. wody. Gdy się wszystko doskonale rozpuści, wlewamy zawartość obu naczyń równocześnie do beczki z wodą, mieszając od dna.

Tak powstaje 2 proc. ciecz bordoska. Dobrze jest opryskać nią drzewa i krzewy raz jeszcze w maju, ale wtedy bierzemy nie dwuprocentową, a jednoprocetową, która się robi tak samo, tylko zamiast po 2 kg. wapna i siarczanu miedzi bierzemy po 1 kg.

Na tem się kończą zimowe starania koło drzew, mające na celu walkę z pasożytami.

Pozostaje nam jeszcze cięcie i ewentualne opóźnienie kwitnienia do czasu, gdy minie obawa przymrozków. Uzyskamy to przez silne udeptywanie śniegu naokoło drzew w takim promieniu, jak sięga korona.

Cięcie — to czynność ważna, od której w dużym stopniu zależy owocowanie i długość życia drzewa.

Porzeczkom i agrestom usuwamy corocznie część pędów, które w roku poprzednim owocowały, aby pozostawić więcej miejsca i światła nowym, jeszcze nie wysiłonym gałęzkom.

Malinom zupełnie wycinamy pędy, na których w roku ubiegłym były owoce. Nowe pędy skracamy o jedną trzecią. Zmuszamy tym sposobem do dobrego rozwoju najsilniejsze oczka.

Drzewom wycinamy wszystko, co wyrasta z pnia poniżej miejsca szczepienia, oraz wszelkie wyrostki z korzeni, do których wiśnie i śliwy są specjalnie skłonne. Dalej wycinamy się wszelkie gałązki, rosnące do środka i krzyżujące się, oraz wszelkie połamane i suche.

Do obcinania cienkich gałązek służy ostry nóż lub sekator, a do grubszych mała piłka. Usuwanie gałęzi obcinać należy przy samej podstawie, t. j. w tym punkcie, gdzie gałęzie lub gałązki wychodzą z konarów. Miejsce to odznacza się, jako zgrubienie, zwane przez ogrodników obrączką. Ciąć trzeba właśnie w tem miejscu, ale tak, aby zgrubienie pozostawić nienaruszone i aby nad niem nie zostawić sęka. Rany po obciętych gałęziach, szczególnie większe, zasmarować maścią ogrodniczą, albo gliną, zmieszaną z krowieńcem.

Wszystkie te zabiegi wyglądają tak groźnie tylko na papierze; przy pewnej wprawie nie zajmą w sumie więcej, niż 45 minut na każde drzewko. Czas stracony i wydatek, jaki to za sobą pociąga, zwraca się stokrotnie w radości z dorodnego, własnoręcznie wyhodowanego owocu i w miłym zespoleńiu się z przyrodą — nie mówiąc już o tem, że stanowi to znakomitą gimnastykę, której pani, dbająca o linję, bynajmniej lekceważyć nie powinna.

Marzena Saryusz-Stokowska.



Scena zbiorowa z „Dwunastu godzin przygód”.

Z TEATROW

Po uroczystych dniach Wyspiańskiego przyszło odprężenie. Właściwie mówiąc, w Warszawie tylko jeden teatr Narodowy przez czas dłuższy, bo zgórą miesiąc, wystawiał „Wesele” i dalej wystawia je na popołudniówkach. „Sędziowie” w Ateneum byli jednorazowym meteorem, a „Daniel” u Solskiej — fajerwerkiem, który napróżno starał się udawać gwiazdę spadającą.

Teatr Polski, który dawniej przodował w widowiskach intelektualistycznych, idzie po linii najmniejszego oporu, pewnym kasowo torem straussowskiego „Nietoperza”. W okresie przedświątecznym zaczął dawać widowisko dla młodzieży: „Dwanaście godzin przygód” w opracowaniu Warneckiego. Przemiała bujda chińsko-polska, w której zręcznie zużytkowano niezawodne szablony operetkowego egzotyizmu, sarmackiej teźyzny i bezpretensjonalnego humoru. Dorośli bawią się narówni z młodzieżą. Buczyńska z epizodycznej roli Mademoiselle zrobiła pierwszorzędną groteskę, a Kondrat z roli murzyna Ka-Po-To wydobyl szczere akcenty prawdy.

W teatrze Artystów robi kasę „Rasputin”. Jest to jeszcze jeden smutny dowód, że upadek się opłaca. Zawiedli „Krakowiacy i górale”, zawiodła „Turandot”, ale nie zawiodła plugawa bolszewicka szmira, grana według osławionych wzorów prowincjonalnego teatru. Najniższy gatunek sensacji, reportaż nie faktu historycznego, ale skandalu — zmięty wycinek podlej gazety.

Poza wykonawcą głównej roli, Kijowskim, reszta aktorów stwarza mimowolną karykaturę postaci, chronologicznie zbyt jeszcze bliskich, aby je można było bezkarnie zamazać. Zamiast cara Mikołaja ujrzelismy figurę zafrasowanego rewirowego, dobrze znaną z ulic Warszawy. Caryca i jej damy dworu ruszały się, jak kucharki, przebrane w suknie swoich pań. Wscenie sądu ciekawe i obiecujące акцен-

ty miała Horecka; cóż, kiedy następne obrazy zawiodły oczekiwania.

Teatr Letni przyciąga magnesem „Kobiety i szmaragdu”. Jedna z tysięcy sztuczek detektywistycznego romantyzmu. Tym razem bohaterem jest nie elegancki włamywacz, ale marzycielski i czarujący inspektor policji, który do klejnotów i... wdzięków kobiecych umie dobierać się niegorzej od „Tajemniczego Dżemsa”.

Miłą niespodziankę zrobiła nam w tej sztuce Smosarska nagłym ożywieniem swej pięknej, ale zwykle obojętnej i martwej osoby. Podobno w polkach dosyć późno budzi się temperament. Ha! lepiej późno, niż nigdy.

W teatrze Nowym po długotrwałem i zasłużonem powodzeniu „Mademoiselle” rok nowy rozpoczęto pod znakiem lekkiej komedji, może za lekkiej, za bladej, jak na scenę o tradycjach eksperymentalnych. „Wszystko dla bliźnich” Berra — to jeszcze jedno wydanie z kolekcji kłopotów bogatych snobów. Świat Caillaveta i Flerisa, świat pozłacanego kłamstwa, w którym czasem lubią na chwilę zanurzyć się biedacy, których prawda życiowa jest tak szara i wypłowiała, że radziby ją podfarbować nawet fałszywemi blaskami.

„Wszystko dla bliźnich” — anegdota o Tartuffie filantropji, pokazana maszej dzisiejszej głodującej inteligencji — to jakby historia o czarnych hrabiach i białych księżniczkach, czytana przy kopce lampce przez suchotniczą szwaczkę. — Mój Boże! — myśli sobie biedactwo — że też ci ludzie nie mają większych kłopotów! Lizjana ma siedemdziesiąt par obuwia, a jej kochanek tylko czterdzieści! Potrzeba im pięćdziesięciu tysięcy franków miesięcznie na drobne wydatki! Sekretarka pana Lavallette bierze trzy tysiące franków miesięcznie! Co za pensja!

Panowie dyrektorzy teatrów, co za nieostrożność! Budzicie w nas, patentowanych głodomorach inteligencji, niezdrowe apetyty. Czy nie dobrze byłoby obciąć trochę te zawrotne sumy? Błagam w imieniu naszego duchowego spokoju! S.P.O.

z ubiegłego tygodnia

Te same zagadnienia w nowym roku. — Krwawa wojna na Dalekim Wschodzie. — Zaborczość japończyków, czy walka o istnienie? — Niemcy wewnątrz i nazewnątrz.

Kalendarzowe zmiany nie wpływają na bieg wydarzeń, które bez wysiłku przekraczają „barjerę”, dzielącą rok stary od nowego. Japończycy bowiem wznowili wojnę z Chinami i po krwawych szturmach zdobyli Szan-haj-kwan. Oburzenie Europy z powodu nacechowanego bezwzględnością postępowania Japonji ma pobudki raczej natury moralnej. Natomiast Stany Zjednoczone Ameryki Północnej żywią obawy innego rodzaju. Sprawa Pacyfiku jest przecież dla Ameryki jednym z najważniejszych zagadnień prestiżu, a groźna konkurencja Japonji oddawna już spędza sen z powiek Yankesów.

W Ameryce przewidują zresztą, że Japonja pomaszkuje dalej w głąb Chin, aby zająć i Tien-Tsin i Pekin. Wynika z tego, że Japonja dąży do rozbioru Chin. względnie do stworzenia północno - chińskiego państwa, w którego skład weszłaby Mandżurja, niedawno od Chin oderwana za sprawą Japonji.

Japonja zdaje sobie oczywiście sprawę z tego, że opinja świata potępia jej zaborczość i, ściśle mówiąc — bezprawie. Jednakże w tej wojnie japońsko - chińskiej rozstrzyga się coś innego, niż sprawa wpływów. Wyspiarskie państwo japończyków ma bowiem groźniejszego wroga nad armje nieprzyjacielskie — wroga, którego nie można zwalczyć ani pracowitością, ani zadziwiającym postępem cywilizacji. Są to siły przyrody, tajemnicze przeobrażenia, odbywające się w głębinach globu, wulkaniczne wstrząsy, zagrażające zagładą ziemi, po której kroczy stopa japończyka. Trzeba więc zawczasu pomyśleć o — eksmisji, o nowych siedzibach.

W nowym roku kontynuuje się również z dużą wrzawą sprawa rewizjonistyczna. Niemcy, dążąc ze wzmoczoną energją do korekty granic wschodnich, usiłują urobić opinję Francji i Anglii w tym kierunku. Nawet przez fale radiowe, przez tuby głośników odbywa się ta propaganda, która ku zdziwieniu całego świata znalazła wymownego protektora w Anglii. W Polsce zdają sobie dobrze sprawę z tej gry, a może nawet z niebezpieczeństwa momentu. I ta nasza czujność właśnie skłania nas do zachowania zimnej krwi, oraz do zgłaszania rzeczowych protestów przeciw prowokatorskim wystąpieniom noworocznym.

Z bacznością należy też śledzić wewnętrzne przesunięcia w Niemczech, gdzie Schleicher usiłuje jednocześnie rozbić partję Hitlera i zjednać Hitlera. Natomiast Hitler na swoją rękę prowadzi układy z byłym kanclerzem Pappenem, aby tą drogą dojść właśnie do porozumienia — z Schleicherem. Te zawile perypetje, dążące do ustalenia stosunków wewnętrzno - politycznych w Niemczech, mają w rezultacie o tyle wzmocnić Niemcy, żeby kwestja rewizji granic stała się ośrodkiem dążeń polityki niemieckiej nazewnątrz.

H. N.

Kobieta w świecie i w domu

MNIEJ ROZWODÓW W AMERYCE.

Jedna z gazet z N. Jorku uskarża się, w imieniu adwokatów ze Stanów Zjednoczonych, że w ostatnich czasach ubyla znaczna ilość rozwodów, co wpływa ujemnie na dochody adwokackie. — To również — twierdzi ta gazet — wypływa z powszechnego kryzysu, ponieważ rozwód połączony jest zawsze z dużymi kosztami. W samym mieście Reno (stan Newada, na zachodzie Stanów), uważanem dotychczas za prawdziwy raj dla rozwodników, z powodu ułatwień procedury i t. d., zanotowano ubytek około 1500 par, w ostatnim roku, w stosunku do dawniejszej obfitości. Zmniejszenie się dochodów adwokackich obliczają, w tymże okresie, na sumę przeszło 40 tysięcy dolarów.

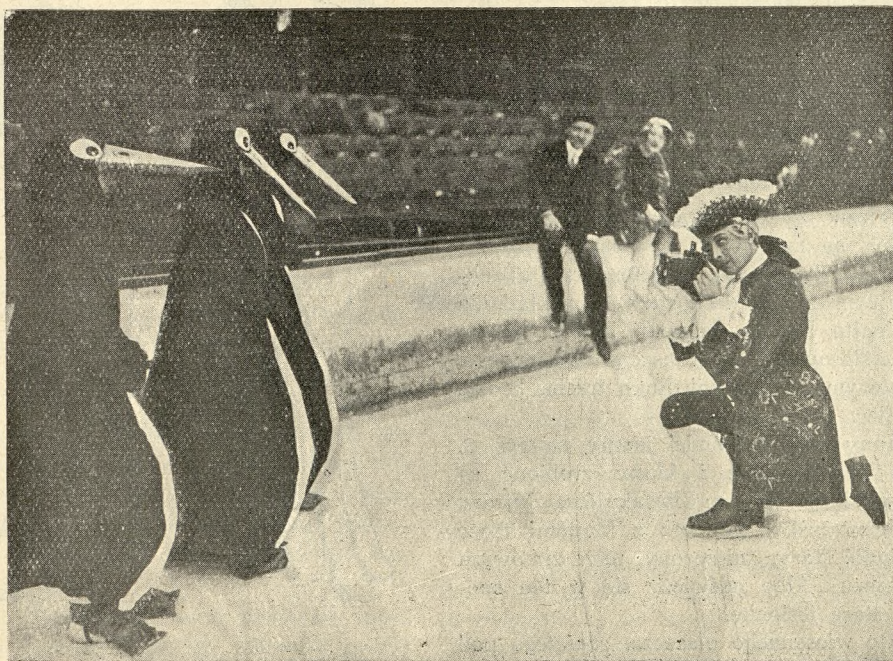
MŁODA DUNKA ŚLADEM SAMOTNEGO ŻEGLARZA.

Młoda Dunka, p. Elsa Muller, wyruszyła sama w małej, składanej łodzi z zamiarem opłynięcia Danii — przez Bałtyk do Hamburga.

Gdy odważna podróżniczka pragnie się gdzieś zatrzymać, składa swą łódź i wyciąga ją na brzeg, rozpiną namiot campingowy i wypoczywa aż do chwili, gdy nabierze ochoty do dalszej drogi. Ambicją p. Muller jest odbycie podróży naokoło świata na swej małej łodzi i oczywiście — samotnie, wzorem słynnego samotnego żeglarsza — Alain Gerbault.

MASKARADA NA LODZIE.

Uroczy kawaler w kostjumie z końca XVIII wieku fotografuje grupę maseczek, ucharakteryzowanych na pingwinów.



KOBIECA MARYNARKA W TURCJI.

W Turcji obecnie kobiety są dopuszczone do pełnienia służby w marynarce handlowej. Istnieje specjalna szkoła dla dziewcząt, która przygotowuje teoretycznie i praktycznie „kadetki” do przyszłej służby. Część roku szkolnego uczennice spędzają na szkolnym statku, na którym odbywają swe pierwsze podróże. W tym roku jeden z takich szkolnych statków, wiozący na swym pokładzie niebiesko ubrane dziewczęta - marynarzy, zwiedził szereg portów europejskich, między innymi Londyn, gdzie zatrzymał się dłużej na święta Bożego Narodzenia.

WŁOSKA MODA NARODOWA.

Na mocy dekretu królewskiego została utworzona „Federazione Nazionale Fascista dell'Abbigliamento”, t. j. „Federacja narodowa faszystowska ubiorów”, która ma otworzyć pierwszą wystawę mód włoskich. Zarządzenie królewskie ma na celu uniezależnienie mody i przemysłu ubraniowego od Paryża i utworzenia własnych ośrodków mody we Włoszech.

ILE KOSZTUJE ZŁAMANIE SERCA MĘŻCZYZNY?

W krajach anglosaskich istnieje prawo, że mężczyzna płaci karę pieniężną za zerwanie małżeństwa z kobietą. W San Francisco zaszedł wypadek odwrotny.

Mianowicie eks narzeczony miss Margaret Murray, kalifornijskiej królowej piękności, zażądał od niej sądownie 10 tysięcy dolarów za „złamane serce”.

Trybunał uznał jednak cenę za zbyt wygórowaną, przysądając nieszczęsnemu zalotnikowi tylko... jeden dolar.



TYLE PREZENTÓW!

przywiozła z Europy do New-Yorku uroczą tancerka amerykańska po występach na scenach Starego Świata.

GOSPODYNIE — OSZCZĘDZAJCIE SWYCH SIŁ!

Architekci niemieccy obliczyli, że gospodyni, spełniająca obowiązki gospodarskie w dawnej, niepraktycznie urządzonej kuchni, musi w ciągu roku przejść 580 klm. Na pokrycie tej ogromnej przestrzeni składa się niepozornie, wydawałoby się — „dreptanie”.

W kuchni, urządzonej celowo i praktycznie, według nowych zasad mechanizacji pracy, przestrzeń ta wynosi już tylko 154 klm., czyli o 450 klm. mniej.

PIERWSZY KOBIECY KLUB SZYBOWCOWY.

Przy Aeroklubie Poznańskim powstała pierwsza w Polsce sekcja szybowcowa pań, mająca na celu szkolenie kobiet w pilotażu na aparatach bezsilnikowych, ułatwienie im szkolenia w ośrodkach szybowcowych, oraz propagandę wśród kobiet lotnictwa silnikowego i bezsilnikowego.

Sekcja liczy obecnie 50 członkiń. Narazie odbędą one teoretyczny kurs przygotowawczy, zorganizowany przez Aeroklub Poznański, z wiosną zaś rozpoczną właściwe szkolenie w pilotażu szybowcowym.

Przez okres zimowy sekcja zbierze fundusz na budowę własnego szybowca, który wykonany zostanie w warsztatach Aeroklubu Poznańskiego.

Pani szyje

Z kawałków futra

W głębinach naszych szaf i szuflad, w kufrach, pudełkach i skrzynkach leżą bardzo często stare futra. Zniszczone, nieświeże, nie interesują nas wcale. Przeciwnie, narzekamy, że bez potrzeby zabierają nam miejsce. Trzymamy je tylko z przyzwyczajenia.

Na sprzedaż się nie nadają. W „naturalnym” stanie są nie do włożenia „z powodu” niemodne lub zniszczone. I pętają się tak po kątach, czekając jakiegoś zmiłowania.

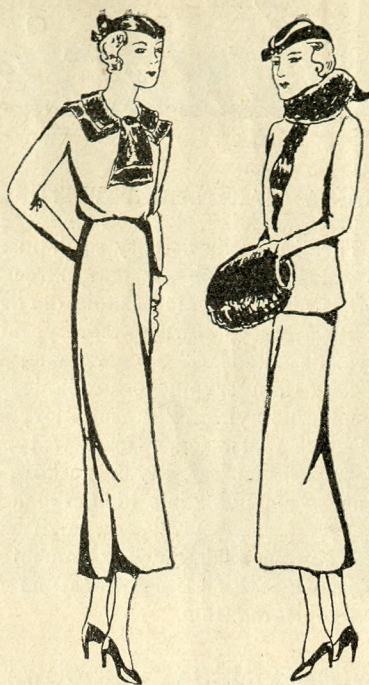
Powinno ono przyjść w postaci rozważki pani, która nareszcie się zastanowi, że przecież coś z tem da się zrobić. Albo wyrzucić, albo zużytkować.

Moda kryzysowa (obecna) właśnie niesłychanie sprzyja wszelkim użytkowym poczynaniom. Podsuwa pomysły, o których się dawniej nawet nie marzyło (nie opłacały się, były niepotrzebne). Dziś każdy kawałek starego futra, nawet bardzo zniszczonego — to skarb niezmiernie cenny.

Z palta futrzanego może powstać kurteczka lub bolerko, tem miłsze, jeżeli wystarczy kawałków na małą mufeczkę płaską lub okrągłą, spiętą na „éclair”.

Ze starego popielicowego spodu może być piękny kołnierz, który zastąpi stary, zniszczony przy palcie lub futrze. Oczywiście, trzeba tylko taki obiekt dać do przerobienia w dobre, wprawne ręce. Opłaci się zawsze.

Bo podstawowym warunkiem każdej przeróbki, a tembardziej futra, jest dopro-



Rys. 3.

Rys. 4.

wadzenie rzeczy przerabianej do stanu takiej świeżości, żeby robiła wrażenie zupełnie nowej. Cały spryt na tem polega. Z pewnością nowe futro kosztowałoby więcej od przerabianego. To zresztą można zawsze w sklepach sprawdzić.

Futra, w postaci przybrań, mają bardzo rozległe zastosowanie. Widzi się je na paltach i kostjumach, na sukniach skromnych i bardzo strojnych. Fason i kształt mają niesłychanie różnorodny. Śmiało można powiedzieć, że dostosowują się do wszelkich kieszeni i do każdego gatunku futra. Robią wszystko, co mogą, żeby wyjść z roli nieużytków i przyozdobić piękną panią modnie, praktycznie, a zarazem wykwintnie.

W karnawale i wogóle zimą interesować nas będą przybrania palt i sukien wieczorowych. A więc modne wszelkiego rodzaju karczki futrane, krótsze i dłuższe, które doskonale osłaniają trochę sfatygowane górą palto. Można z ich pomocą przydłużyć palto, które miałyśmy jeszcze nosić (choć kuse), ale tak razilo, że trzeba było zdecydować się na przeróbkę.

Można robić mufeczki z futer, które były pamiątką po prababce, a kawałkami przybierać małe kapelusiki.

Śliczne zastosowanie pasów futrzanych mamy na modelu nr. 1. Pasy idą trochę skośnie i łączone są z materiałem lub aksamitem. Model doskonały do wkładania na palto lub na kostjum. Bardzo ładny w zastosowaniu do płaszcza wiosennego, o którym przecież niedługo trzeba będzie myśleć.

Inny świetny model mamy na rys. 2. Tu duży kołnierz i klapy zrobione są z płaskiego futra: karakułów, lutrów, breitszwanców. Kołnierz z klapami może zastąpić stary, zniszczony, przy zimowym płaszczu. Albo odświeżyć się w ten sposób starą jesienką.

Do wiosennego płaszcza, zapiętego pod

szyją, który ma kołnierz zniszczony, albo do nowego, który chcemy przybrać futrem, można zrobić kołnierz z krawatem według rys. 3. Kołnierz podwójny tworzy rodzaj pelerynki prostokątnej, zakończonej długim, podwójnym krawatem.

Bardzo wytwornie będzie wyglądała pani w kostjumie, do którego włoży szal futrzany i mufkę (rys. 4).

Kołnierz z płaskiego futra zapina się z boku lub przerzuca przez ramię. Jeden koniec jest gładki, drugi rozszyty futrem odmiennego koloru, wstawionem trzy razy. Mufka okrągła, zapięta na „błyskawicę”. Bo w jej wnętrzu ukrywa pani wszystko to, co nosiła dotychczas w woreczku.

Bardzo ładnie wyglądają puszyste i kosztowne futra przy wszelkiego rodzaju wieczorowych sorties. Czasem obszywa się niemi rękawy, to znów górę, daje się je wkoło, albo robi się z nich cudne pelerynki czy małe żakietki. Szczególnie ładne są na ten cel jasne futra. Pelerynki widzimy z różnego rodzaju futer, dawno zapomnianych.

Załączamy wzór bardzo oryginalnej pelerynki wieczorowej, obszytej dookoła rulonem puszystego futra (rys. 5). Świetnie się na ten cel nadaje jakaś zniszczona, szeroka etola, obramowanie palta lub boa.

Oryginalne berty futrzane, zakończone kokardą z futra, można robić do jasnych sukien balowych; śliczny jest kontrast kolorów i materiału na rys. 6. Suknia z białego crêpe satin, a berta i kokarda z brązowych breitszwanców lub strzyżonych baranków.

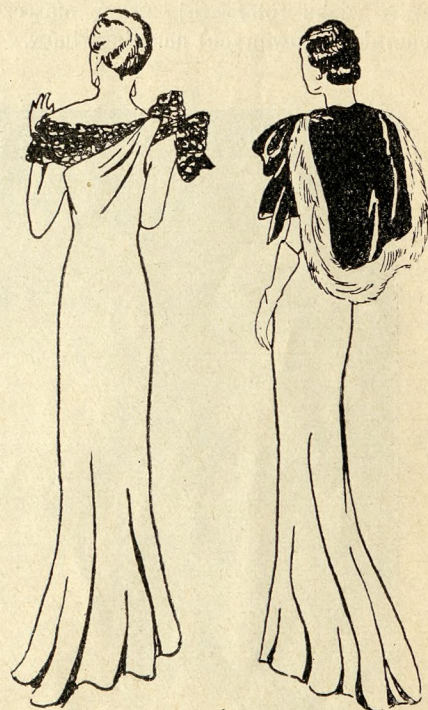
Możnaby przykłady mnożyć bez końca. Ale, zdaje mi się, że Panie już teraz od razu pójdą przeglądać swoje nieużytki futrzane. Panie są przecież praktyczne, oszczędne, a muszą być modne.

M. Dobrowolska.



Rys. 1.

Rys. 2.



Rys. 6.

Rys. 5.

MÓWNIKA

Czyja wina?

Każda z nas spotkała się zapewne z zarzutem, skierowanym pod adresem młodego pokolenia, a zarzucającym mu egoizm, materializm, brak przewodniej idei, brak tej ofiarności, która cechowała pokolenie, wyrosłe w niewoli.

Czy słuszne jest kierowanie tych zarzutów tylko w stronę młodzieży, uwalniając od nich zupełnie pokolenie starsze? Powiedzmy sobie otwarcie: — nie! Któż kształtuje to młode pokolenie, jeśli nie rodzice, nauczyciele, a zatem przedstawiciele pokolenia starszego? Jakże często słyszy dziecko słowa potępienia, rzucane przez jego najbliższych na jakiegoś młodego zapaleńca, który „mierzył siły na zamiary, nie zamiar według sił”. Jakże często ojciec oblewa zimną wodą entuzjazm swego dziecka, nazywając jego dążenia utopją i kończąc długą perorę ironicznym zdaniem: „Będziesz sam bez butów chodził, a świata nie zbawisz”. Wychowane w takiej atmosferze dziecko wyrasta na „statycznego obywatela”, jak twierdzi rodzina; na egoistę, jak twierdzą młodzi zapaleńcy.

Wejźdźmy w położenie jakiejś dziewczyny, wychowanej w „porządnym domu” drobnej burżuazji. Mówię dlatego o dziewczynie, że na niej ciąży silniej atmosfera domu, niż na chłopcu, który mniej w tym domu przebywa i tem samem mniej wpływem tego domu ulega. Przeciętna dziewczyna po skończeniu szkoły średniej zapisuje się do jednej ze szkół wyższych, głęboko przekonana, że jest to jej jedyny obowiązek względem państwa i społeczeństwa. Dobrze, jeżeli posiada chociaż to przekonanie! Bardzo często jednak myśl taka nie przyjdzie jej do głowy, a uniwersytet przedstawia się, jako pewna ilość egzaminów — co uważa za smutną konieczność — oraz dużo flirtu i swobody, co się nazywa odpoczynkiem po ciężkiej pracy.

Każdego myślącego człowieka zadziwi ten egocentryzm. Nic z siebie — wszystko dla siebie! Jest to jednak bardzo często wynikiem wpajanych w młodości zasad, że „trzeba przez życie iść przebojem”, „nie wolno dawać się wyzyskiwać!”, „Lepiej, żebyś ty wykorzystał kogoś, niż ten ktoś ciebie!” — Co za okropny konglomerat zdań słusznych i potwornych! co za węzeł do rozwikłania dla młodych, ledwo nawykłych do myślenia, mózgów! Nic dziwnego, że tak duża ich ilość nie może sobie dać rady z rozwiązaniem tej zagadki i idzie drogą najmniejszego oporu, to znaczy drogą, która obiecuje maksimum przyjemności przy minimum wysiłku.

Czy rzeczywiście takie stawianie sprawy jest słuszne? Czy nie można pogodzić

swych egoistycznych dążeń z pewnymi dążeniami ogółu? Nie przeczę, że dzień dzisiejszy — dzień wytężonej pracy i twardej walki o byt — nie nadaje się do byronicznych poczynañ. Jednostka jest tylko jednostką i, jako taka, nie może fizycznie się przyczynić do zmiany istniejących warunków.

Mówię: „fizycznie”, bo wpływ moralny jednostki jest i będzie duży. Tam, gdzie nie pomoże jednostka, tam może pomóc zorganizowana gromada, jednocząca i potęgująca wysiłki tych jednostek. Jakże smutny widok przedstawia jednak dzisiaj taka placówka pracy społecznej! Ciągłe tarcia, ciągłe sprawy osobiste spychają na dalszy plan najbardziej palące zagadnienia. Zupełny brak wykształcenia społecznego paraliżuje najlepsze chęci jednostek kierujących.

Czy taki stan rzeczy może trwać nadal? Czy można pozwolić, aby młodzież powiększała kadry próżnujących snobów? Czy można narzekać na egoizm i mate-

rializm, gdy sobie samemu ma się tak dużo do wyrzucenia?

Zabieram głos na łamach tego pisma, aby mówić do Was, matki i nauczycielki, i zapytać Was: — Czyja to wina, że dzisiejsze pokolenie tak mało daje z siebie, a tak dużo dla siebie żąda? Czy nie jest waszem najgorętszym pragnieniem, aby ten stan rzeczy uległ jaknajprędzej zmianie?

A zmiana leży w Waszej mocy. Wy możecie inaczej kształtować młode serca i umysły. Dlaczego tak mało z Was to czyni? Nie chodzi mi w tym wypadku o artykuł programowy, o szkicowanie idei przyszłych kierunków wychowawczych, ale poprostu chcę rzucić to palące pytanie między liczne szeregi czytelniczek „Bluszczu”, aby zastanowiły się nad tą dysproporcją higieny ciała i ducha, nad zastraszającym zanikiem instynktów społecznych, i abyabrały głos w tej tak ważnej dla wszystkich sprawie.

Hanna Białowiejska.



Tylko zdrowe zęby mogą być piękne. Obowiązkiem każdego człowieka jest zachować zęby w stanie zdrowym przez staranne utrzymywanie ich w czystości. Właśnie to jest jedynym zadaniem pasty do zębów, a Colgate spełnia je w zupełności. Reszta należy do lekarza

dentysty, którego powinno się odwiedzać dwa razy do roku.

Pasta do zębów Colgate posiada właściwość przenikania najwęższych nawet szczelin pomiędzy zębami, skąd usuwa wszelkie zanieczyszczenia. Po użyciu pozostawia pasta Colgate miły orzeźwiający aromat.



PRZEPISY GOSPODARSKIE

KARTOFELKI SMAŻONE PO FRANCUSKU.

(*Pommes „Chip“*).

Średniej miary kartofle, niezbyt mączy-
ste, obrać, pokrajać w jaknajcieńsze ta-
larki (pięć do sześciu plasterków na jeden
centymetr). Rozsypać ciekłą warstwą na
stolnicy, aby obeschły, lub, jeśli chodzi o
pośpiech, obetrzeć z wilgoci miękką ści-
reczką. W żelaznym garnku rozgrzać
tłuszcz — najlepiej fryturę wołową po po-
łowicie z oliwą orzechową (arachidową).
Tłuszczu powinno być dużo, jak do sma-
żenia pączków. Gdy tłuszcz jest tak roz-
palony, że na powierzchni zaczyna się lek-
ko dymić, zanurzyć w nim kartofle, luź-
no ułożone w drucianym koszyczku. Po
dwóch minutach kartofle są już miękkie,
ale jeszcze blade. Wyjmuje się je wraz z
koszyczkiem i daje im nieco przestygnąć.
Tymczasem tłuszcz się ponownie rozgrze-
wa do bardzo wysokiej temperatury. Gdy
się znowu zacznie dymić, zanurzyć w nim
raz jeszcze koszyczek z kartoflami. W cią-
gu kilkunastu sekund kartofle się rumie-
nią i stają chrupiące. Wyjęte i osączone z
tłuszcza posypuje się lekko drobną solą.

Tłuszcz precedzony zlewa się do gar-
nka do powtórnego użycia. Może służyć
bardzo długo, gdyż w taki sposób smażone
kartofle bardzo mało go wypijają. Takie
kartofle są w Paryżu uważane za przy-
smak i podawane, jako przekąska do wi-
na, do vermutu, do cocktailów. Jada się
je nie tylko na gorąco, lecz i na zimno.
Figurują jako niezbędna część przyjęcia
na wykwintnych popołudniowych herbat-
kach i wieczornych bridżowych przeką-
skach.

SZCZUPAK PO ŻYDOWSKU.

Oryginalny przepis żydowski przyrzą-
dzania zwykłego szczupaka (większość go-
spodyń zna tylko sposób przyrządzania po
żydowski szczupaka faszerowanego).

Oczyszczonego, jak zwykle, i pokraja-
nego na dzwona półtorakilowego szczupa-
ka osolić na parę godzin przed użyciem.
Pokrajać w paski: marchew, pietruszkę,
seler, dwa pory i dużo cebuli. Dodać pie-
przu i ziela w ziarnach, parę listków. Uło-
żyć to wszystko w rondlu wraz z rybą,
zalać wodą, aby tylko objęło. Postawić na
dużym ogniu, żeby się raptownie zagoto-
wało. Potrząsać rondlem, by ryba do dna
nie przywarła. Dodać dwie szklanki wody
zimnej, zagotować powtórnie i gotować
wolno pół godziny. Wrzucić garść rodzyn-
ków - sultanek i parę listków szafranu.
Oddzielnie ugotować krajane klusieczki z
czterdziestu deka mąki i jednego jajka.
Przelać zimną wodą, aby się nie zlepily.
Na półmisku ułożyć pośrodku rybę, z jed-
nej strony jarzyny, z drugiej klusieczki,
wszystko zalać sosem z ryby. Chcąc taką
rybę podać na zimno, nie należy do niej
dodawać klusek, a tylko ułożyć w sala-
terce wraz z jarzynami i sosem. Do dnia
następnego zastygnie wyborna galareta. Do
niej podać chrzan z octem.

FAWORKI NIEKOSZTOWNE.

Dwa jaj całe, dwa żółtka, dwie łyżki
cukru-pudru, stołowa łyżka śmietany, de-
serowa łyżka oliwy i tyle mąki, aby za-
gnięć ciasto, dające się walcować bez pod-
sypywania mąką. Wyrabiać i wybijać cia-
sto nie mniej, niż godzinę, następnie przy-
kryć miską i wynieść na chłód (nie na
mroz) na drugą godzinę. Walcować jak-
najcieńiej, krajać w pasy, przewijać raz
lub dwa razy, jak zwykle faworki. Sma-
żyć na rozpalonym szmalcu. Gdy się zru-
micnią, wybierać na sito lub na bibułę.
Gorące jeszcze przekładać na półmisek
i posypywać obficie cukrem, utłuczonym
z wanilią.

Pani Elżbieta.

obiady

dla pracującej inteligencji

(na 5 osób).

OBIAD JARSKI.

*Bliny z masłem i śmietaną.
Barszчыk czerwony, czysty.
Kompot z suszonych jabłek.*

Osiem deka suszonych jabłek (kraj-
owych, białych, krajanych w krążki) namo-
czyć na noc w zimnej wodzie (wody trzeba
sporo, gdyż bardzo pęcznieją). Zrana zalać
jabłka wodą tak, aby je trzykrotnie objęło,
dodać dziesięć deka cukru i parę goździków
lub kawałek złotej skórki z cytryny.
Gotować, aż zupełnie zmiękną, przelać do
salaterki i wynieść na chłód.

Marchew dużą, pietruszkę, upieczoną ce-
bulę nastawić w dwóch i pół litrach wody,
jak na zupę jarzynową. Wrzucić parę mło-
dych grzybków suszonych, pieprzu w ziarnach,
listek. Upiec lub ugotować trzy ćwierci
kilo buraków ćwikłowych. Obrać, drob-
no poszatkować, wrzucić do smaku i go-
tować, aż kolor straci. Wlać sporą łyżkę
najlepszego octu winnego, lub zaprawić do
smaku barszczem z kwaszonych buraków;
zagotować raz tylko. Przecedzić przez si-
to wprost do wazy, w której powinna być
przygotowana łyżeczka śmietankowego
masła.

Ciasto na bliny należy zacząć robić na
cztery godziny przed obiadem. Dwadzieścia
deka mąki z twardej pszenicy (najlepiej
walcówki) sparzyć wrzącym mlekiem, wy-
robić dobrze, aż ostygnie, włożyć dwa deka
drożdży, rozpuszczonych w łyżce mleka.
sześćdziesiąt deka mąki i tyle mleka, aby
ciasto było nieco rzadsze, niż na racuchy.
Postawić, aby podeszło. Gdy dobrze urośnie,
jeszcze raz sparzyć wrzącym mlekiem i do-
brze wybić. Osolić ciasto. Dać ponownie
podrosnąć. Powinno być nieco gęstsze, niż
na naleśniki, ale musi swobodnie spływać
z łyżki. Patelni smarować szmatką, osu-
dzoną na patyku i maczaną w topionym
maśle (piórko się pali). Piec cienkie bliny,
rumieniąc je z obu stron. Podawać bardzo
gorące; do nich w jednej sosierce dziesięć
deka roztopionego masła, a w drugiej kwa-
terkę gęstej, kwaśnej śmietany.

Pani Elżbieta.

PANI, która dba

o wytworny wygląd MEŻA

kupuje tylko bieliznę
marki

GeZet

z czerwoną nitką.

2826

Meble jak tanio można kupić
za gotówkę, każdy winien
przekonać się, zwiędzając:
Polski Przemysł Meblowy „STYL“
ZŁOTA 7 róg Marszałkowskiej.
KOŁOSALNY WYBÓR KOMPLETÓW,
SZTUK POJEDYNCZYCH.

Z dziedziny kosmetyki

P. Janina M.: W zimie nie radzę myć
włosów w wodzie, gdyż łatwo zaziębić
głowę, i wskutek tego cebulki włosowe
osłabiają się i włosy wychodzą. Najlepiej
myć głowę na sucho, *pudrem Florentin*.
Nasypuje się troszkę *pudru Florentin* we
włosy, wtrzepując go dobrze ręką, a na-
stępnie dobrze wyczesać szczotką i grze-
bieniem. Włosy będą czyste, suche i pu-
zyste. Jest to pewny i mało kłopotliwy
sposób. Co się tyczy przyciemnienia brwi
i rzęs, to lepszego i trwalszego środka nad
Hennolinę niema. Ponieważ *Hennolina*
wyrabia się i do włosów, więc przy kup-
nie proszę zaznaczyć, że to ma być *Hen-
nolina do brwi*.

Panu K. M. Łupież wygubi Pan i za-
pobiegnie wypadaniu włosów, stosując
Tetral-Perfection, który da dodatnie rezul-
taty już po 2-ch, 3-ch dniach. Włosy na
skroniach najlepiej przyciemnić *Hennoli-
ną*.

P. Zofji w Kaliszu: Najlepszym środ-
kiem do rąk jest *Krem Pralatom*, który
nawet bardzo zniszczone i zaniedbane rę-
ce szybko doprowadza do należytego sta-
nu. Ręce nie będą czerwone i szorstkie,
lecz gładkie i miękkie. Jeżeli idzie o wy-
bielenie rąk, to po natarciu *Kremem Pra-
latom* na noc, grubo przypudrować wy-
bielającym pyłkiem *Juvenia Candida*, i
włożyć luźne stare rękawiczki, lub ręk-
awiczki kosmetyczne. Szczególniej nieo-
ce-niony jest *krem Pralatom* w zimie, gdyż
prócz miękkości i delikatności, którą na-
daje ręką, zapobiega również odmroże-
niom. Co się tyczy kremu pod puder, to
najlepszy będzie *Krem Seta*. Z podróży po-
lecam *Abarid*, który nie ma sobie równego,
a przytem nie niszczy cery.

M-m Ercedés.

Do wszystkich: o ile na prowincji tych
środków dostać nie można, to wysłać
wszystkie pocztą: „Perfection“ Warszawa,
Marszałkowska 109.



Mankiet i płaski kwiat z kra-
ciastej materji — listki i środek
wycięte ze starej rękawiczki.
Mankiet przemarszczany z weluru lub
jedwabiu; z tegoż materiału pęczek drob-
nych kwiateczków.

Rękawiczki jedwabne białe,
lub czarne, wykończone kloszo-
wemi falbanami z żorżety — ko-
kardki strąssowe.

Mankiet z suknią kolorowego — podobny,
płaski kwiat.

Mankiety i kwiat z piór strusich.



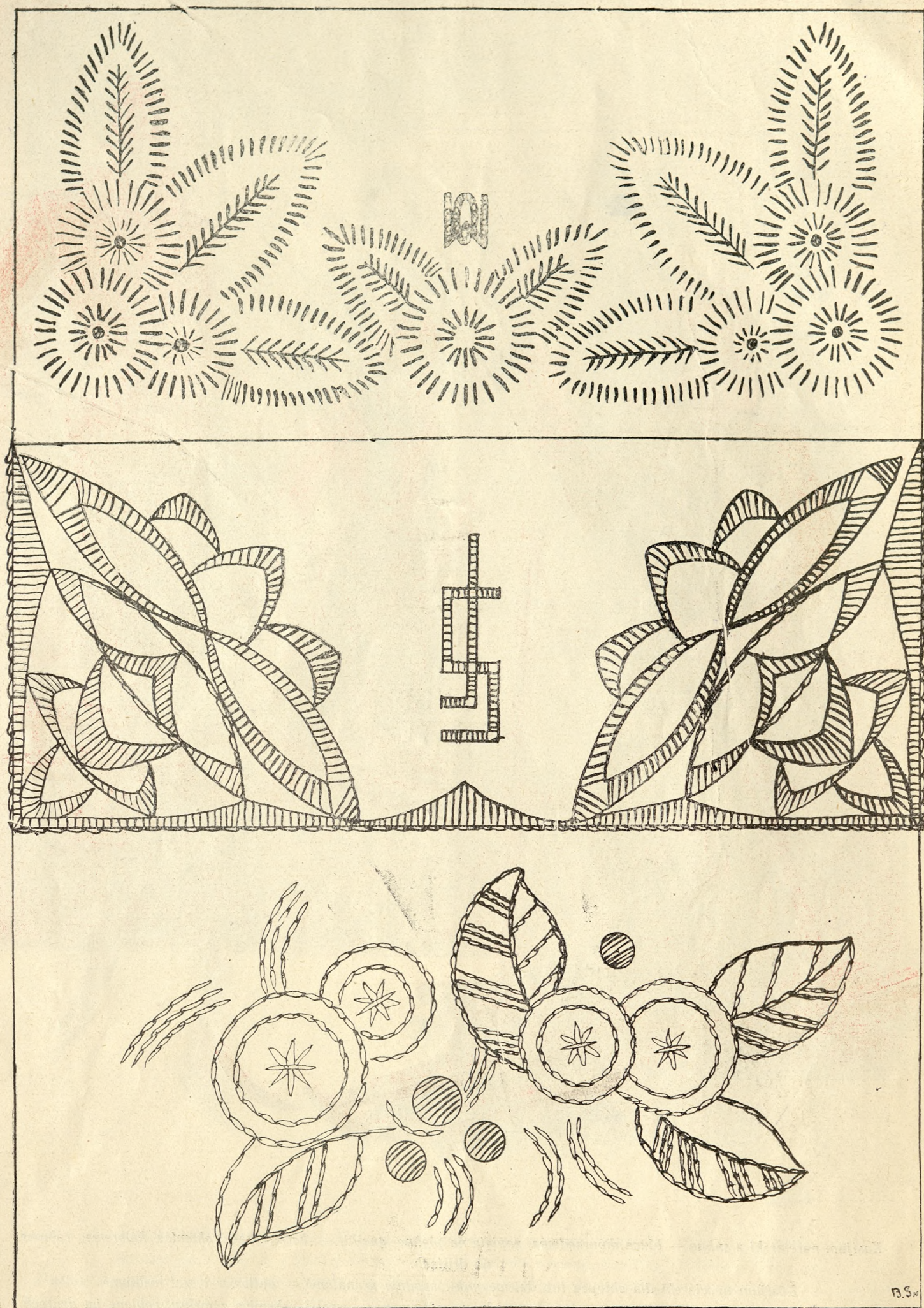
Kostjum do ślizgawki z ciemno-brązowego sukna — kołnierzyk, epolety i mufka z karakulów.
 Kostjum na ślizgawkę z grubej wełny — szal i rękawice z wełny czerwonej, robione na drutach.
 Kostjum narciarski z granatowego sukna — pullover z wełny w pasy, robiony na drutach — szal i rękawice wełniane.
 Narciarski kostjum męski z sukna czarnego — przód i kieszenie zapięte na guziki.



Kostjum narciarski z sukna — bluza dwurzędowa, zapięta na piękne guziki — beret, szal, rękawice kolorowe, robione na drutach.

Kostjum narciarski dla chłopca lub dziewczynki: spodnie granatowe — pullower i szal wełniane.

Kostjum na saneczki: kurtka skórzana — spódnica wełniana plisowana — szal i rękawice z wełny, robione na drutach.



Trzy wzory do ozdobienia kopert do serwetek — haft kolorowy na białym płótnie.

z książek

„TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE”.

Warszawa 1932. Nakładem Tow. Naukowego Warszawskiego.

Dwudziestopięciolecie Towarzystwa Naukowego, obchodzone uroczyście w przywróconym do dawnej świetności Pałacu Staszica, zbiegło się ze stuletnią rocznicą tragicznego rozwiązania Tow. Przyjaciół Nauk i zrabowania jego skarbów przez zaborców po upadku powstania listopadowego.

Ten podwójny jubileusz upamiętniony został uroczystym posiedzeniem w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej oraz wydaniem pięknej książki pamiątkowej, zawierającej następujące prace:

Ryszarda Przelaskowskiego: „Warszawskie Tow. Przyjaciół Nauk” (1800 — 1824), Marjana Lalewicza: „Pałac Staszica w Warszawie”, Marcelego Handelsmana: „Tow. Naukowe Warszawskie 1907 — 1932 r.” oraz katalog wydawnictw Tow. Naukowego Warszawskiego.

KSIAŻKI

NADESŁANE DO REDAKCJI

Stefan Napierski: „Obrazy z podróży” — Dom Książki Polskiej. — Warszawa 1933.

Marjan Piechal: „Garść popiołu”. — Warszawa, Instytut Literacki — 1932.

Dr. J. Śmiarowska: — „Higiena młodej dziewczyny”. — Warszawa — 1933. Dom Książki Polskiej.

Marja Wicherkiemiczowa: „Łódź na purpurze”. — Poznań 1932.

Marja Wicherkiemiczowa: „Ballada o Edwardzie Raczyńskim”. — Poznań 1932.

Marja Wicherkiemiczowa: „W słońcu Italji”. — Poznań 1929.

Marja Wicherkiemiczowa: „Tripolis”. — Poznań 1927.

M. ARCT

Zajmujące czytanki:

73. Stefan Łoś: „Księżniczka Mafalda”.

74. Adam Darkowski: „W śnieżnym więzieniu”.

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA:

Cyprjana Norwida poezje wybrane z całej odszukanej po dziś puścizny poety. Ułożył i przypisał opatrzył Miriam.

Stanisław Srokowski: „Z dni zawieruchy dziejowej 1914 — 1918” — Kraków 1932 — Nakładem księgarni geograficznej „Orbis”.

F. HOESICK.

Mieczysław Lisiewicz: „Legends i balady” — Warszawa 1933 r.

Bronisław Paletur: „Polska od serca do serca”, — słowem wstępem poprzedził Włodzimierz Słobodnik.

Aleksander Alfred Konar: „My i dzieci” — powieść.

Fryderyk Jarossy: „Próbka bez wartości”.

Karol Irzykowski: „Benjamin” — rzecz o Boyu-Żeleńskim.

Ion Creango: „Czarodziejskie opowieści” — z przedmową M. Ivogi — przełożyła z rumuńskiego Konstancja Maysłówna.

POEZJE:

Mieczysław Lisiewicz: „Legends i Balady”.

Władysław Broniewski: „Troska i pieśń”.

Adam Galis: „Bryły”.

Alfons Dzieciolowski: „Było ich trzy”.

Leopold Lewin: „Kara pisana”.

Roman Brandstetter: „Węzły i miecze”.

Mieczysław Jastrun: „Inna młodość”.

ODPOWIEDZI KOSMETYCZNE

Ciekawej. Sztuczne rzęsy można robić nawet z własnych włosów, jakkolwiek i inny materiał nadaje się do tego celu. Przyprawione rzęsy mogą śmiało przetrwać 6 tygodni. Należy jednak zawsze pamiętać, by przy zabiegu „dolepiania” były zachowane wszelkie możliwe przepisy ostrożności, albowiem w przeciwnym razie można być narażoną na przykre konsekwencje. Samej w żadnym wypadku zabiegu tego na sobie wykonywać nie wolno.

KOSMETYKA

Wady cery, skóry, włosów, żył. Elektroterapia.

Dr. ZOFJA ROSTKOWSKA

Telefon 8-99-29.

508

Mokotowska 51

Pani J. T. w Kórniku Poznańskim. List wysłę za dni kilka.

Pani Marji w Krakowie. Proszę myć głowę co 7 dni. Sądję, że nastąpiła poprawa, tem bardziej, że sama Pani jest zadowolona. Przepisu na płyn do wcierania nie podaje, albowiem znajdzie go Pani w poradniku w nr. 39 „Bluszczu” z 26.IX 1934 roku.

Troskliwej matce. Należy bezwzględnie pierwszy dzień leżeć w łóżku. Jeżeli cały organizm się poprawi, wszystkie opisywane przez Panią objawy powinny ustąpić. Proszę nadal stosować się do przepisów.

Al. Z. Proszę się nie zrażać zapachem. Żadnej przykrości, poza chwilowem nieprzyjemnem uczuciem szczypania, trwającym zresztą krótką chwilę, nie będzie Pan odczuwał. Najlepiej wcierać rano.

OD REDAKCJI

Przypominamy naszym Czytelnikom, że prawo do prenumeraty ulgowej, od Nowego Roku 1933, wynoszącej 3 zł. 60 gr. miesięcznie, przysługuje wszystkim urzędnikom i urzędnikom państwowym i komunalnym, wojskowym i ich żonom, oraz nauczycielom. Prenumeratę ulgową należy wnosić wprost do Administracji „Bluszczu” za okazaniem legitymacji służbowej.

Odpowiedzi na pytania z działu prawnego, higienicznego, kosmetycznego i towarzyskiego będą udzielane tylko po załączeniu do listu znaczka 30 groszowego na odpowiedź.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

TREŚĆ NUMERU: Bezrobotne i te, którym grozi bezrobocie — Jadwiga Krawczyńska. Ankieta „Bluszczu”: O nowy typ mężczyzny — Hanna Skarbek. Cienie wieczoru (powieść) — Zofja Kunicka. Warszawa po stu latach — Aura Wyleżyńska. Elżbieta, cesarzowa austriacka — S. Borowska. U was i u nas — Zbigniew Grabowski. Jak się pani bawi (zabawy) — Jadwiga Kiewnarska. Z plastyki — S. P. O. Harmonja i ekonomja odżywiania, podstawą szczęśliwego życia — Tadeusz Lewicki. Zima w sadzie — Marzenna Saryusz-Stokowska. Z teatrów — S. P. O. Z ubiegłego tygodnia — H. N. Kobieta w świecie i w domu. Pani szyje — M. Dobromowska. Mównica. Przepisy gospodarskie — Pani Elżbieta. Obiady dla pracującej inteligencji — Pani Elżbieta. Rękawiczki. Mody kolorowe. Trzy wzory do ozdobienia kopert do serwetek. Z książek. Odpowiedzi kosmetyczne.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.

Do innych krajów miesięcznie 6 zł. Zmiana adresu 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Solec 87, tel. 244-18 i 787-03.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz”. Warszawa, Solec 87.

KARNAWAŁ!!!

zabawy — przyjęcia — wesela —
w y p r a w y ś l u b n e...

We wszystkich tych sprawach najlepiej doradzi

WYDAWNICTWO

„ŻYCIE PRAKTYCZNE”

obejmujące książki, poświęcone sprawom gospodarstwa
domowego, jak również i życia towarzyskiego.

DROBNE CIASTECZKA
ZIMNE NAPOJE
PRZYSTAWKI GORĄCE
SAŁATY I SAŁATKI
NAPOJE GORĄCE
NALEWKI I LIKIERY
TORTY DOMOWE
CUKIERKI I SŁODYCZE
DOMOWEJ ROBOTY
PASZTECIARNIA
DOMOWA
CO, JAK I KIEDY PODA-
WAĆ (część I-sza i II-ga)
O PRZYJĘCIACH I STOLE
JADALNYM

WZOROWA PANI DOMU
UMIEJĘTNOŚĆ ZACHO-
WANIA SIĘ W ŚWIECIE
I DOMU
UMIEJĘTNOŚĆ OBCOWA-
NIA Z LUDŹMI
— :: —
WYPRAWA PANNY
MŁODEJ
WYKWINTNA I PRAK-
TYCZNA BIELIZNA
O POŚCIELI I BIELIŹNIE
POŚCIELOWEJ
UMEBLOWANIE WSPÓŁ-
CZESNE (o urządzeniu ma-
łego mieszkania)
WNĘTRZE DOMU POL-
SKIEGO

Każda z powyższych
książek kosztuje 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką
pocztową 1 zł. 80 gr.

Książki wyżej podane nabyć można w Tow. Wyd. „Bluszczyk” — Warszawa, Solec 87 i Pl. Zamkowy 9

ORAZ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.